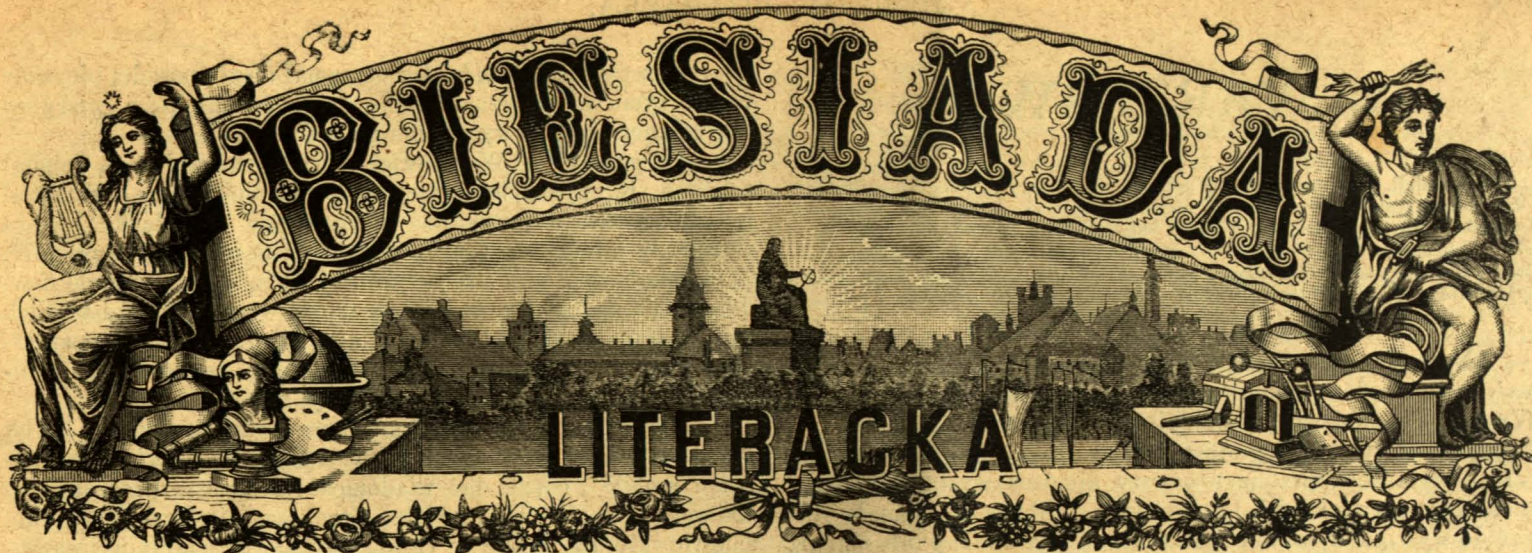




LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA

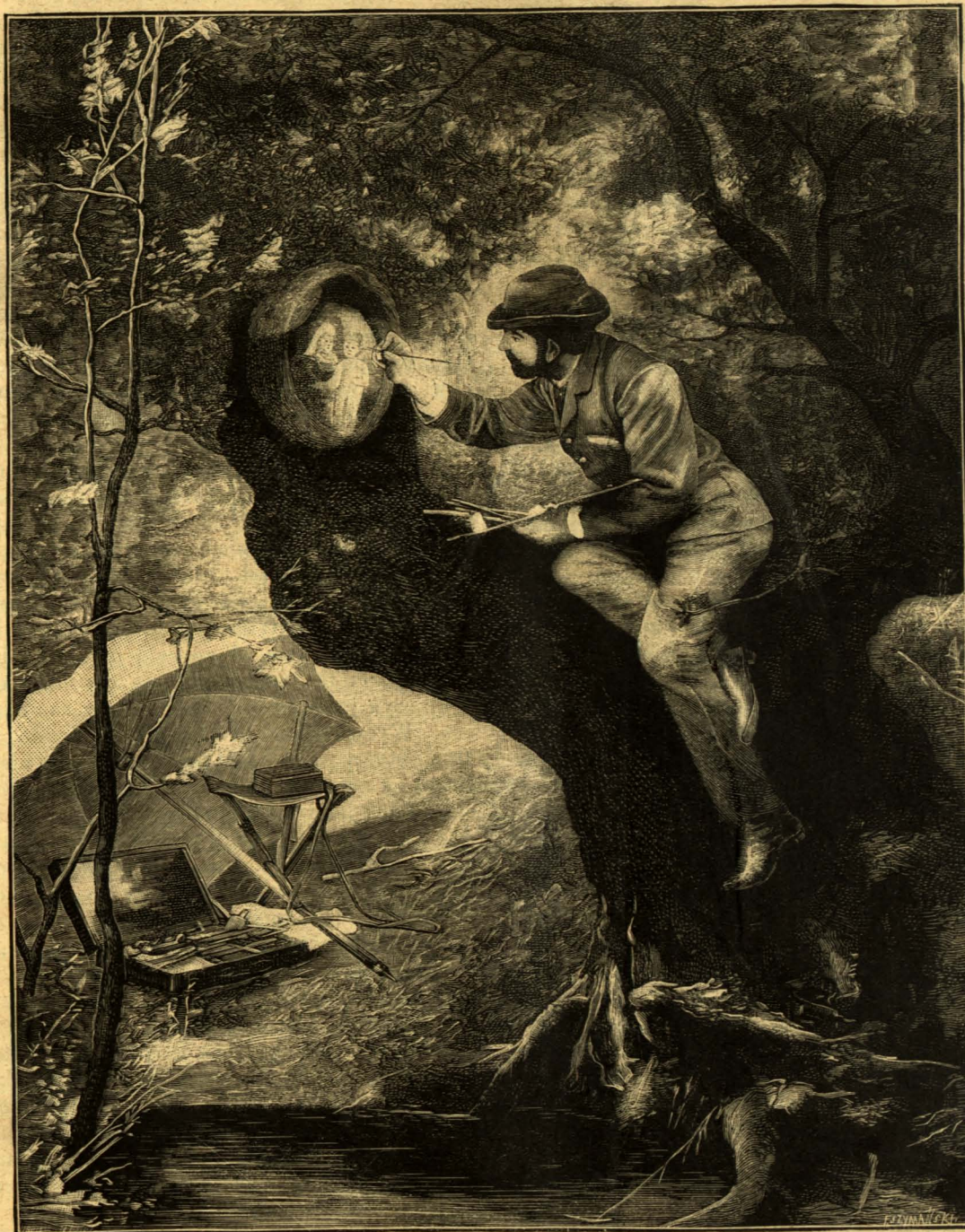
Nr 23—597.

Redakcyja: Chmielna, № 26

Warszawa, 10 czerwca 1887 r.

29 maja 1887 r.

Tom XXIII.



NA PAMIĄTKĘ.

Obraz J. Roskowiec'a.

— On moim jest synem, moim! — krzyknęła niemal dziko — nikt nie ma prawa do niego!

— Masz pani słuszość — odrzekł doktor, starając się ją uspokoić — Artur nie chciałby nawet znać innej matki. Nie lękaj się pani, ta kobieta ma ręce związane i mileżeć będzie we własnym interesie. Nie chodzi jej zresztą o syna, lecz o dziedzica majątku i tytułu. Uspokój się, droga pani.

Zuzanna nie mogła zebrać myśli, wszystko wirowało w jej głowie, a wzrok co chwila mgłą zachodził. Zdołała jednak opanować swoje wzruszenie i z twarzą bladą lecz spokojną przyjęła męża i syna, którzy we dwie godziny później powrócili. Artur był bardzo ożywiony i rozmowny, opowiadał różne epizody z zabawy i śmiał się z lady Damerel, w której wszystko było fałszywe: włosy, rumieńce, a nawet uśmiech.

Kiedy Zuzanna wstała nazajutrz po bezsennej spędzonej nocy, ciężar strasnej tajemnicy tak uciskał jej serce, że zaledwie mogła zwykłym oddać się zatrudnieniom; widok Artura nawet sprawiał jej nieokreśloną boleść. Z prawdziwą wdzięcznością przyjęła propozycję doktora, który odjeżdżał do Londynu i chciał zabrać na kilka dni swego chrzestnego syna; Arturowi zaświeciły się oczy na myśl poznania stolicy, ale ze wzruszającą uległością zapytał wprzód matki o pozwolenie.

— Jeżeli sobie życzysz, mateczko, to zostanę. Nie chciałbym nic uczynić przeciwnego twojej woli.

— Ja zaś chcę tylko twego dobra, mój najdroższy — odrzekła z czułością i wyszła z pokoju, żeby ukryć łzy ciskające się do oczu. Nigdy Artur nie był jej droższym, nigdy silniej nie czuła, że stanowi on jedyne szczęście jej życia.

— Bądź pani spokojną i nie martw się napróżno — mówił zamyślny doktor, żegnając nazajutrz panią Trevena — chłopiec się trochę zabawi, a potem trzeba go zaprząć do pracy. Będzie to dla niego z korzyścią, ta ciągła praca; zobaczy pani, że wyrośnie kiedyś na dzielnego, rozumnego mężczyznę, który będzie cię błogosławił do ostatniej chwili swego życia.

— Niech ci Bóg płaci za twoje pocziwe słowa! — cicho odrzekła Zuzanna, ściskając d'ou przyjaciela, który pod dziwną powierzchownością i szorstkiem obejściem złote ukrywał serce.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Radość prasy niemieckiej z upadku Boulanger'a. — Co robi Boulanger. — Nowy gabinet francuski. — Nowy minister wojny, generał Ferron. — Co Niemcom z tego przyszło? — Cesarz Wilhelm i kanał niemiecki. — Niebezpieczna choroba następcy tronu niemieckiego. — Ostatnia allokucya Leona XIII.

Ukonstytuowanie się nowego gabinetu francuskiego, z pominięciem generała Boulanger'a, sporo uciechy sprawiło światu politycznemu. Cieszą się mianowicie Niemcy, a pozostająca w ścisłych stosunkach z najwyższymi sferami berlińskimi „Kreuzzeitung” oświadcza wręcz, że już teraz jest wszystko jaknajlepiej na najlepszym ze światów; zwiastuje dalej jednocześnie zbliżenie się Niemiec z Rosyją.

Usunięcie Boulanger'a poszło nadspodziewanie gładko; demonstracye uliczne na rzecz jego były słabe i bez znaczenia, on sam zdaje się zgadzać ze swoim losem: podał się na dowódcę korpusu, prosząc jednocześnie o urlop na czas dłuższy. Może chce spokojnie oczekiwać na nową sposobność wystąpienia na arenę polityczną, na niedaleką zapewne chwilę upadku dzisiejszego gabinetu, który jest z kolei dwudziestym drugim w ciągu lat szesnastu, a nie zdaje się posiadać większych warunków żywotności od swoich poprzedników.

Gabinet to podwójnie nowy: raz dlatego, że świeżo utworzony, powtórnie dlatego, że złożony z samych niemal ludzi nowych, mało znanych albo nieznanych dotąd zupełnie; najmniej zaś znanym z pomiędzy tych „nieznanych” jest naczelnik jednego z najważniejszych w obecnej chwili departamentów, minister wojny generał Ferron. Na niego zwracają się oczy wszystkich choćby dlatego, że jest następcą Boulanger'a, a z przeszłości jego nie wnioskować nie można. Jest ona niby biała kartą, na której, oprócz porządkowych awansów, nie się dotąd nie zapisało.

A jednak nowicjusz ten zdaje się chcieć wstępować w ślady swego poprzednika: wydał już rozkaz przyspieszenia fabrykacji nowych karabinów repetyerowych; zamierza na początek o cztery pułki pomnożyć kawalerią francuską; planu Boulanger'a reorganizacji armii będzie bronił w izbie.

Wobec tego trudno zaprawdę dobrze zrozumieć radość prasy niemieckiej z upadku Boulanger'a; chyba nie rozpatrzyła się jeszcze w działalności nowego ministra, tak jak nie oceniła na razie doniosłości ukazu o cudzoziemcach w Rosyji. Teraz dopiero pomiarkowała się, że miliony kapitałów niemieckich zostały tym ukazem dotknięte, a jeremiady jej na ten temat stanowią rażący dysonans w hymnie radosnym, do którego natchnienia zaczerpnęła z gabinetu Rouviera.

Niespożyty starzec, cesarz Wilhelm, świeżo wrócił do Berlina z Kiel, gdzie jeździł na uroczystość położenia kamienia węgielnego pod budowę kanału, mającego połączyć morze Bałtyckie z morzem Północnym. Dzieło to niepospolitego znaczenia, zarówno pod względem technicznym jak politycznym. Kanał poczynając od Holtenau, pod Kielem, aż do Brunsbüttel, niedaleko ujścia Elby, ciągnąć się będzie na przestrzeni 80 kilometrów, a będzie splawny dla największych okrętów wojennych. Wykopanie tego kanału uczyni dopiero Niemcy zupełnymi panami swą flotą, którą dotąd miała Dania, zamknawszy Zund i Belt wielki, każdej chwili może przeciąć na dwoje, uwięziwszy całą jej część znajdującą się na wodach Bałtyku. Kanał ten wydrze tedy małej Danii ostatnią broń, jaką dotąd mogła się poniekąd stać groźną potężnym Niemcom, i zada jednocześnie klęskę jej handlowi i finansom, wiele bowiem okrętów, zmuszonych opływać Danią i stawać w jej portach, obecnie będzie wołało krótszą drogę obrać przez kanał niemiecki.

Wróciwszy z tej uroczystości, prawie bez wypoczynku zamierzał sędziwy cesarz puścić się na Szląsk, do Lignicy, na obchód jubileuszu tamtejszego pułku grenadyerów; w ostatniej jednak chwili sprzeciwili się lekarze tej nowej wycieczce, ze względu na mocne zaziębienie, którego się cesarz w Kiel nabawił. Starzec nie nadługo jednak potrzebował łóżka; raporta przyjmuje jak zawsze i biegu interesów niemieckich z oka nie spuszcza.

Żelaznego atoli zdrowia swojego nie zdołał cesarz przekazać choremu na gardło synowi swojemu. Lekarze jedni byli za energicznymi środkami, uważając chorobę za raka, drudzy przeciwnie; to ostatnie zdanie podzielił sprowadzony do Berlina słynny doktor Mackenzie.

We Włoszech, ponad zajęciami parlamentarnymi i w ogóle politycznymi, przeważa w tej chwili polityczniejsza może nad inne myśl zbliżenia się między Watykanem a Kwirynałem. Myśl tę poruszył Ojciec Św. Leon XIII w ostatniej allokucyi swojej, w której następnie wyrzekł słowa: „Oby podobało się Bogu, iżbyśmy, będąc ożywieni pragnieniem niesienia pokoju wszystkim narodom, przy zachowaniu potrzebnych rękojmi, mogli być pożyteczni i Włochom, które Bóg tak licznymi węzły połączył z rzymskim Papieństwem, przy zachowaniu jednak sprawiedliwości oraz godności Stolicy Apostolskiej, obrażonej nie tylko przez gwałtowność ludu ale również, i to głównie, przez napady sekt. Dla przygotowania pojednania i zgody powinien być wytworzony taki stan rzeczy, żeby Papież nie podlegał żadnemu mocarstwu a używał zupełnej swobody, jak tego prawa jego żądają. Gdyby taki stan rzeczy nastąpił, nie wyniknęłaby ztąd dla Włoch żadna szkoda; odniosłyby one raczej korzyść pod względem bezpieczeństwa i pomyślności.”



620) ODPOWIEDŹ na pytanie: Czy masło sztuczne może zastąpić naturalne?

Przed dwudziestoma laty chemik francuzki Mège-Mouriès, zachęcony przez Napoleona, zajął się pierwszym przygotowaniem masła sztucznego. Szło o otrzymanie produktu taniego, głównie dla kuchni na okrętach w długich podróżach. Potrzeba było zbadać przedewszystkiem w jaki sposób wytwarza się masło naturalne; chemik zaczął od dręczenia głodem krów, które obserwował.

Biedne zwierzęta nie dostawały prawie żadnej paszy, z każdym dniem były chudsze i mniej dawały mleka; pomimo to mleko zawierało w sobie masło. Mège wyciągnął z tego wniosek, że głodzone krowy urabiały masło z poduszczek tłuszczowych we wnętrzu ciała; krowy przyjmowały tłuszcz, oddychanie oczyszczało go ze stearyny, dalsza zaś przemiana dokonywała się pod wpływem pepsyny (soku trawiącego) w wymionach.

Co w ciele krów działo się na małą skalę, chemik postanowił dokonać na wielką skalę przy pomocy retort żelaznych i maszyn.

Żelazne cylindry i kadzide, gorąca woda i pokrajane żołądki baranie i wieprzowe, zastąpić musiały ciało krowy, jej krew, płuća i sok zawarte w gruczołach wymion. Nie dojdono już krów lecz je bito; nie z mleka ich lecz z poduszczek tłuszczowych, wykrajanych z ich ciała, zaczęto przygotowywać masło.

Potem przestano zabijać krowy, ze względu na mleko, i szlachtowano dobrane tuczone woły. Obfity tłuszcz miażdżyły silne maszyny i tak rozdrobiony lój, pomieszany z wodą, wlewano do kadzi żelaznych. Dorzucano do tego pewną ilość żołądków baranich i wieprzowych, trochę węgla potasu i ogrzewano mieszaninę do 45 Celsjusza. Po kilku godzinach odpływał jasno zielony tłuszcz, który po oczyszczeniu go roztworem soli kuchennej, barwą i zapachem przypominał zupełnie świeżo urobione masło. Po stwardnieniu ziarnista masa tłuszczu szła pod prasy i rozkładała się pod naciskiem ich na dwie części: część cięższą, tak zwana stearyna, pozostawała w prasie, oleomargaryna zaś odpływała. Pierwsza szła na fabrykację świec, druga na wyrób masła sztucznego.

Tak otrzymana margaryna nadaje się już do gotowania i smażenia potraw, lecz nie ma jeszcze smaku masła stołowego; ten ostatni nadaje jej dopiero przemieszka pewnej ilości świeżego mleka i posiekanych wymion krowich i skłócenia mieszaniny w taki sam sposób, w jaki bije się masło zwykłe. Po ugnieceniu i umyciu, sztuczne masło stołowe jest gotowe.

Przygotowany w ten sposób produkt, czysto i ze zdrowych pierwiastków, jest bezzaprzeczenia użyteczną i zdatną do użytku okrasą; mniej strawny od masła mlecznego, nie działa jednak szkodliwie na zdrowy żołądek. Nie można jednak powiedzieć tego o wyrobach pochodzących z tłuszczu chorych lub zdechłych zwierząt. Masło takie jest rozsądnikiem wielu chorób, w tłuszczu bowiem pozostaje zawsze pewna ilość drobnych organizmów zwierzęcych, tających w sobie chorobliwe zarodki.

Pod tym względem grzeszą najwięcej wyroby amerykańskie, zalewające całą Europę; są one wprawdzie tanie, lecz spożywcę drogo nieraz opłacają zdrowiem tę taniość.

Wyobraźmy sobie tłuszcz z wieprzów zdechłych na różę lub inną chorobę, pomieszany z innym podobnym tłuszczem. Dla zwalczania odoru i ukrycia zgnilizny czyszczą i bielą masę kwasem saletrzanym i siarczanym, tak tegim, że przezera robotnikom obuwie i paznokcie im kaleczy; potem farbują ją i dla zwiększenia wagi mieszają z drobno mielonym kamieniem mydlnym (talkiem). I taka mieszanina piekielna nazywa się masłem. Jakaż ilość jednak rozechodzi się jej po świecie! W dziewięciu miesiącach 1880 r. wywieziono z portu Nowego Yorku do Rotterdamu 11,127,547 funtów margaryny. Jedna fabryka wyrabia tygodniowo ilość margaryny zastępującą masło 300,000 krów dojnych.

Konsumcja masła na całym świecie jest tak niezmierna, że bez masła sztucznego nie podobna byłoby uczynić zadość spożywcom. Same Niemcy produkują rocznie do 300,000 cetnarów, przedstawiających wartość 18 milionów marek; nie mniejszą ilość margaryny produkuje Francja. Nie brak tego rodzaju fabryk i w Rosyji.

621) PYTANIE: Jaki wpływ wywiera świeże powietrze na apetyt?

Ze skarbcza prawd. Światem rządzą z dnia na dzień siła i pieniądz ale prowadzi go do celu braterstwo.

R E B U S.



Rebus z N-ru 22. Gdy nie stać na dorożkę, dobry i tramwaj.

Na letniem mieszkaniu.
Domek otoczony garścią krzaków i dolkiem udającym jezioro.
Właściciel. — Teci! wleż w krzaki i siedź w nich cicho.
Córka. — Poco?
Właściciel. — Bo zaraz przyjadą państwo oglądać pomieszkowanie letnie; — jak ich zobaczysz, zacznij udawać słowika, to ich zachęci.
Córka. — Ależ ojcze, ja tylko śpiewam...
Właściciel. — Matka wciąż powtarza, że śpiewasz jak słowik — więc nie wymawiaj się i marsz w krzaki! Pieniędzy bezpożytecznie na twoją naukę nie myślę wydawać.

Nad Wisłą.

— Walek, coś zapłacił za swoją nową czapkę?
— Nie wiem.
— Jakto nie wiesz?
— Bo kiedym ją kupował — czapnik spał.

JAK SOBIE RADZIĆ.

Nowy środek przeciw krupowi. Inżynier francuzki w Grand zakomunikował dziennikowi higienicznemu w Montréal, następujący środek przeciw krupowi, zaręczając, że wyleczył nim mnóstwo dzieci nawiedzonych tą straszną plagą. Cebulę upieczoną rozkłada się na muslinie, nadając jej kształt plastra, i polewa amoniakiem. Taką wizykatoryą, o ile można gorącą, przykładą się na gardło dziecku. Ratunek — jak zapewnia wynalazca — jest niezawodny.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

Dobre usposobienie rynków zbożowych w ubiegłym tygodniu osłabło nieco, lubo nie można powiedzieć, żeby prąd ku podwyżce cofnął się zupełnie; nastąpiło jedynie tu i owdzie oziębienie i wahanie chwilowe, które w różnych miejscach rozmaicie się zdecydowało. W Nowym Yorku obniżyły się nieco ceny pszenicy; w Anglii przeciwnie, ze względu na panujące zimna ceny utrzymały się, nawet ze słabą tendencją do wzrostu. Francja, w miarę jak urodzaje stają się coraz wątpliwymi, podnosi ceny. W Holandii i prowincjach nadreńskich panowało usposobienie słabsze; za to powodzie w Węgrzech, zmniejszając świetne nadzieje zbiorów, wpłynęły zapewne na podwyższenie cen w Austrii. W Niemczech ostatecznie nastąpiła drobna podwyżka, zarówno pszenicy jak żyta. W Rosyji, z powodu podniesienia się kursu rubli, zmniejszył się popyt z zagranicy.

Z Poznania donoszą, że w skutek niebardzo korzystnych wiadomości z ważniejszych rynków wełnianych, usposobienie tamtejszego rynku osłabło. Za to jarmark w Lignicy wykazał podwyżkę 5—7 talarów w porównaniu z cenami zeszłorocznymi, które atoli co prawda były bardzo niskie. Na prowincyi jednak, jeszcze przed paru tygodniami, handlarze zawarli wiele kontraktów po cenach o 10 talarów wyższych od zeszłorocznych.

Giełdy zaniepokojone zostały pogorszeniem się zdrowia cesarza Wilhelma po powrocie z Kiel a może i wieściami obiegającymi o niebezpiecznym stanie zdrowia następcy tronu. Na giełdzie berlińskiej obniżył się kurs wartości rosyjskich; ruble, które w ostatnich dniach stały już na 186.70, w dniu 6 b. m. spadły na 185.90.

Warszawa, d. 4 czerwca 1887 r. 50/0 Listy Zast. (za rs. 100) 101.55. — Listy Zast. ser. II lit. A. 101.40. — Listy Zast. ser. III lit. A. 101.40. — Listy Zast. M. W. I ser. 100. — Listy Zast. M. W. II ser. 99.50. — Listy Zast. M. W. III ser. 98.75. — Listy likwidacyjne Król. Pol. 94.25. — Marka niem. kop. 54 1/2; zł. r. k. 85 2/3; frank k. 44; półimperyal rs. 8 k. 91; wartość rubla w złocie k. 57.

Targ Warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 7 k. 85. — Żyto rs. 4 k. 65. — Jęczmień rs. 4 k. 20. — Owies rs. 3. — Groch rs. 6.

— na stacyi Praga. Za pud. Pszenica rs. 1 k. 26. — Żyto k. 77. — Jęczmień k. 68. — Owies k. 83. — Groch k. 80. — Gryka k. 80.



Mąka jako materiał wojenny. (Młynarzowi z nad Niewiaży.) Dowcipną jest uwaga pańska, że i mąka może być tak dobrą a nawet lepszą niż dynamit; słusznie pana to zadziwia, że się jeszcze ministerya wojenne nad tym środkiem eksplozującym nie zastanawiały. Nie trać pan nadziei — i mąka odegra rolę wojenną, o co panu jako młynarzowi wielce idzie. Niejeden już młyn runął w gruzy z powodu zapalenia się pyłu mączkowego, jaki zapelnia budynek. Wystarczy jedna iskra z kamienia, walców lub z innego jakiego narzędzia aby się pył zapalił i wszystko zniszczył. Niedawno w Leith, w Anglii, z tego powodu ogromny młyn wyleciał w powietrze; kilkunastu robotników zginęło.

Wiwisekcya. (P. R. T. w Rydze.) Doświadczenia na żywych zwierzętach robione przez amatorów, udających lekarzy, są przez prawo uważane za czyny występne i karane jak pastwienie się nad bezbronnymi. Tylko lekarz może się tłumaczyć, że dla dobra społeczeństwa poddaje zwierzę męczarniom, a nawet i w tym razie zmniejsza cierpienia środkami znieczulającymi. Pański kolega udający okulistę jest poprostu okrutnikiem; bo czyż to nie zbrodnia oślepić kota nagłym oświeceniem jego oczu błyskawicą elektryczną. Wyciąganie wniosków z takich doświadczeń, równa się podrzynaniu gardła dla dowiedzenia rzeczy wiadomej, t. j. że ostra brzytwa skórkę przecina. I szczepienie jadu królikom jest także jako czyn okrutny i niemoralny, ale usprawiedliwia je choć w części dobro nauki. Biedne króliki zostały wybrane na ofiarę medycynie, na nich to znowu znęcają się okuliści francuzcy, którzy wywołując kataraktę oczną, dają do spożycia królikowi, przez dni kilka, po 11 do 20 gramów naftaliny, na 1 kilogr. jego wagi. Katarakta sztuczna bywa nieuleczalną; takiego królika kalekę przedstawiono w paryżkiem Towarzystwie biologicznym... z zupełnym zadowoleniem nauki. Uczony okulista wyparłby się spółnictwa z pańskim kolegą, opowiadającym z okrutnym uśmiechem o oślepionym kocie!

Post-scriptum.

Litwince. Wiersz „Dwa słowa” przedstawił nam jakiś poeta początkujący. Otrzymał za niego honorarium i zachętę, żeby pracował dalej. Nie mogliśmy wiedzieć, że wiersz ten był już drukowany przed dwudziestu laty w innym piśmie i jest utworem p. Alberta W. Od rzeczywistego autora otrzymaliśmy podobne jak od sz. pani zapytanie i odpowiedzieliśmy mu w B. L. Smutne czasy! nawet młodzieńcy układni, z miną skromną, pocziwają... praktykują szalbierstwo. — **P. A. Z. w W. (1)** Nie, a dlaczego? Dlatego, że budowa strofok przypomina owe kuplety operetkowe, posiekane na wykrzykniki i podskoki: *Ach ta wola, czy wolać rón!* lub: *Można żyć, marzyć, śnić...* czyż to nie kopia owęj poezji ogródkowej: *Niech świat drży. Jowisz grzmił, Ja mam bat a ty gnaj!* — **P. S. Lut. z nad Niemna.** W warszawskim sklepie wypisane na szyldzie „zabezecen” tyle warte, co dodatek przy pożegnaniu „upadam do nóg”. Kto mówi *zabezecen*—obdziera; kto *upada do nóg*—stoi. — **Herbownik.** (P. K. K. w Moskwie.) Kupiec warszawski, który sz. panu przysłał rachunek opatrzone herbem „Pogoń”, widąc na licytacji kupić ten klejnot. Nie słyszeliśmy, żeby jaki Judel albo Aron pochodził od Porajów; warto zapytać owego kupca: ile i komu za to prawo używalności zapłacił. Może Aron jest prawnym posiadaczem herbu sprzedanego na giełdzie. — **Narzeczonemu** (w Włocławku). Damy sz. panu przykład; w r. z. wysłał mi maszynę do szycia aż do Tweru, jako prezent od narzeczonego, który mógłby się także zdobyć na kupienie takich jak pańskie kolii, bransoletki lub zegarka, ale narzeczona prosiła, żeby nie robił zbytków. Państwo młodzi po brali się i żyją szczęśliwi a maszynera teraz szyje koszulki dla pierworodnego. Miłość obejść się może bez blaszek jubilerskich. Naśladuj pan dobry przykład i zamiast naszyjnika z gołębiami kup maszynę do szycia lub coś równie pożytecznego. — **Chóremu na płuca** (stacya Homel). Doktorzy zalecają do picia koniak ale to recepta b. niebezpieczna; najprzód, koniak dobry drogo kosztuje a powtóre, łatwo się do niego przyzwyczaić, tak że nawet po wyzdrowieniu, amator chętnie udaje chorego. Na dziesięciu chorych, jeden się koniakiem wyleczy a dziewięciu rozpije. Szukaj pan innego lekarstwa! — **Poezie** (w Zas...). A to proponował 500 rubli chcesz pan złożyć kaucyj, że co miesiąc dostarczysz nam 500 wierszy doskonałej prozy lub poezji — i radzisz zastanowić się nad tą korzystną dla nas propozycją. Już się zastanowiliśmy — 500 rs. przyjmujemy ale jako kaucyj, że pan nam ani jednego wiersza nie przysłesz. Zgoda? — **Autorce do A. B. C.** Łatwo płyną wiersze ale przy brzegu trzeba je dobrze przepatrzyć aby wiedzieć, które na ląd wysadzić a które znów puścić na bystre wody. Są strofki, które wartoby było zasadzić na grzędzie poezji rodzinnej ale nie brak też i kończących się na: *cheruby—gruby; brudzą—cudzo; tuli—znieczuli: tam—pan; tuż—otwór* i t. p. Poezja to sztuka jubilerska, trzeba każdy kamyczek dobrze obejrzeć zanim go się oprawi. „Skowronka” oddaliśmy „Przyjacielowi dzieci”.

Przewodnik.

Pakowanie jaj. (P. M. K. w Niemirowie.) Każde jaje owija się w bibułę, pakuje w trociny i układa tak aby innego nie dotykało. Manipulacya to znużająca



Parnell, przywódca Ligi irlandzkiej.

i kosztowna. Jaja dobrze upakowane odbyć mogą podróż jaknajdłuższą bez uszkodzenia; znana wylęgarnia w Prażmowie (stacya Grójec) wysyła jaja na krańce Rossyi a nigdy się nie zdarzyło, aby odbiorca narzekał na złe pakowanie. Bliższe szczegóły udzieli sz. pani zarząd hodowli w Prażmowie. Podobno kilku obywateli w pow. Zasławskim, gub. Kijowskiej, urządziło w miasteczku Szepetówce zakład do pakowania jaj wywożonych za granicę. Łatwiej sz. pani niż nam sprawdzić tę wiadomość. — **Kapelusze słomkowe.** (Kupcowi w Kownie.) Kapelusze słomkowe z firmą „Muzeum przemysłowo-rolne w Warszawie” są

handlowe nadużyciem, ponieważ Muzeum ani kapeluszy, ani żadnych innych przedmiotów nie wyrabia. Nawet grzebień z fabryki L. hr. Krasińskiego, jednego z najhojniejszych dobrodziejów Muzeum, takiej firmy nie mają. Czy to czasem nie figiel owego genialnego dyrektora, który mały warsztat wyrobów słomianych w Kutnie, nazwał w cennikach europejską fabryką. Prosimybardzo o jeden taki kapelusz fałszowany. — **Składy węgla.** (P. A. S. w R.) Nie radzimy, składow węgla w Warszawie jest więcej niż potrzeba; mali składnicy utrzymują się oszustwem w sprzedaży cząstkowej. Jak się w Radomiu z węglem dzieje, o tym nie wiemy. — **Kielichy, ornaty.** (Sz. ks. Julian B. w T.) Kielichy i inne utensylia kościelne wyrabiają warszawskie fabryki przedmiotów z nowego srebra: p. p. Frązeta, Norblina, Wernera i t. d. Pod względem piękności nie ustępują zagranicznym a są od nich tańsze. Ornaty, kapy, stuly wyrabia szkoła rzemieślnicza hr. Zyberg-Platerówny; najzamożniejszy kościół może się w tej pracowni wyposażyć. Powinniśmy kościoły i kościółki nasze zaopatrywać w wyroby krajowe a nie łaszczyc się na tanią niemiecką, która idzie zawsze w parze z lichotą. — **Nieurodzaj amerykański** (rolnikowi w Upicie). W tej chwili nie może nas jeszcze cieszyć, bo nie wiadomo co dadzą zasiewy powtórne. Rolnicy amerykańscy widząc, że zasiewy jesienne zle o urodzaju wróżą, zorali natychmiast wszystkie pola i nie zważając na olbrzymie koszty zasiali je nanowo. — **Informacya.** (Choremu. st. Pułtusk.) Zakład wodolecznicy „Nałęczów”, położony o 5 godzin od Warszawy, 1 godzina od Lublina, 4 wiorsty od stacyi dr. żel. Nałwilański. Leczą się cierpienia nerwowe, organów trawienia, płuca i t. d. Czy i niewralgia i bezsenność—o tym objaśni tylko lekarz. Koszt całodziennego utrzymania (a więc i z jedzeniem) 3 rs. od osoby; dzieci płacą połowę. Oczywiście do utrzymania nie należą koncerty, ani teatr, ani spacer. Położenie malownicze. Podanie o zdzierstwie należy do dawnych czasów, dziś podobno jest inaczej. — **P. T. Rzepecka.** Oprzędę kupuje p. Boguski, znany protektor jedwabnictwa krajowego. Zgłosić się także można do „Muzeum przemysłu i rolnictwa”, które udziela chętnie a zgodnie ze swoim powołaniem wszelkich informacji dotyczących się rolnictwa i przemysłu. P. Helenie Sudnikowej, która pierwsza zaprowadziła hodowlę jedwabników w okolicach Jampola wołyńskiego, przesyłamy słowa szczerzej zachęty i podziękę za dobry przykład. — **Mleko do Warszawy.** (Właściciele folwarku w Grójeckim.) Z tej odległości dostawiać mleka nie oplaci się; psuoby się w drodze podczas upałów. Pachciarze z pod Warszawy płacą dworowi za garniec mleka po kop. 20, a od 1 października po kop. 24. Zarabiają oni 10% 20% lub 50% — to zależy od ilości wody dolanej do mleka, a bez tej manipulacyi nie obejdzie się pachciarz najsumienniejszy. I to tradycya!

Treść numeru 597 Biesiady Literackiej, ilustracyi warszawskiej: Z Warszawy. — Carmen, obrazek z życia południowo-amerykańskiego, skreślił d-r Józef Siemiradzki (z rysunkami). — Z książki i z życia. — Parnell. — Raptularz tygodniowy. — Największa na całym świecie fabryka maszyn przemysłowych i wojennych (dokończenie). — Dziecko kupione, powieść przez autorkę „Lorda Erlstoun” (d. c.). — Listy polityczne. — Czy masło sztuczne może zastąpić naturalne? — Ze skarbeca prawd. — Humorystka. — Jak sobie radzić. — Rolnictwo, przemysł, giełda. — Gazetka. — Post-scriptum. — Przewodnik. — Rysunki: Na pamiątkę. (Obraz J. Roskowiec'a). — Stuletni dworek w Międzyrzeczu podlaskim. (Rysunek W. Brochockiego). — Na turniej wyścigowy. (Obraz J. Chelmińskiego). — Parnell, przywódca Ligi irlandzkiej. — Rebus. — „Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: **Maurytanka**, arkuszy 23.

Przypominamy sz. prenumeratorom, którzy wnoszą prenumeratę kwartalnie, aby z odnowieniem jej na kwartał III-ci i IV-ty o ile możności pospieszyli. Przesyłka pieniężna wprost na nasze ręce jest dla obu stron najdogodniejszą; pomaga ona do dokładnej i bezwzględnej ekspedycyi. Premium zesłoroczne otrzymają prenumeratorowie w kwartale IV razem z premium tegorocznem t. j. z portretem olejnym

Józefa Ignacego Kraszewskiego,

wykończonym artystycznie, podług portretu oryginalnego przez hr. Mniszcha, uznanego przez ś. p. Kraszewskiego za najlepszy z dotychczasowych jego portretów i fotografii.

Adres: Księgarnia i Redakcyja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się rocznie rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38, z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopieki zamienić na monety obcą, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcyja nie odpowiada.

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Мая 1887. — Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek. — Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora-Wydawcy **Władysława Maleszewskiego**: Chmielna Nr 26.

Z WARSZAWY.

O nas zagadali.—Reprezentanci Warszawy na licytacji klejnotów.—Brylanty i konduktor tramwajowy.—Nowa fuzya repetierowa.—Szparagi azyatyckie i marchew warszawska.—Oszczędności belgijskie.—Wyzyskiwanie służby przez właścicieli restauracji, mleczarni i t. p.—Przywilej teatru i przywilej cnoty.—Rada dla dobrej matki.—Ostrożnie z panią „Francillon”.—Dramat „Lena” i figiel dyrektorski.—Żaba i chłopiec wzorowo wychowany.—Mama, tatko i córeczka u pani „Francillon”.

Nareszcie i o Warszawie zagranica zagadła, z bardzo ważnych powodów. Ten zaszczyt zawdzięczamy nie Matejce, ani Wystawie higienicznej—ale najpierw panom A., L. i pani M., którzy na licytacji klejnotów korony francuskiej kupili kilka garści brylantów, przelicytowawszy agentów wysłanych przez nabywców amerykańskich i angielskich. Sława to niemała stać do wyścigu z takimi potentatami jak Makaj lub markiz Westminsteru. Na naszych zwycięzców zwróciły się oczy publicznościapełniającej salę licytacyjną a dzienniki wspomniały o magnatach z Warszawy, zachęcając przemysłowców, szarlatanów, aktorów aby biegli nad brzegi Wisły, do miasta, którego mieszkańcy kupują brylanty wówczas, kiedy Rotszyldowie chcieliby sprzedać swoje—przewidując burzę.

Reprezentanci naszej zamożności, powróciwszy z klejnotami do hotelu, zostali powitani tytułem wyższym: z hrabstwa kielnerowie podnieśli ich do godności książęcej. Z tém namaszczeniem wrócili do kraju, a pomimo całej rzeczywistości, że tytuł dała im służba hotelowa, są oni przekonani, iż wyniańczyła ich książęca kolebka i dla córek poszukują zięciów ze znakomitych rodów.

Do jednego z tych posiadaczy okrucich korony francuskiej, zgłosił się w zeszłym tygodniu b. konduktor tramwajowy, prosząc o miejsce odźwiernego, które właśnie wakowało. Konduktor postradał posadę, ponieważ nie posiadając talentu głodomorków, mógł tylko dni pięć obejść się bez jedzenia ale w dniu szóstym zachorzał.

— A dlaczego to pan nie jadałeś obiadu? Zapytał go pan A.

— Nie było czasu—musieliśmy ciągle być przy wagonach; odpowiedział konduktor.

— Bo wy to chcielibyście się zaraz do obiadu rozsiąść, łokciami podeprzeć i jeszcze napić się czarnej kawy przy dobrym cygarze. Na takie ciężkie czasy ciepły obiad to rzadkość jak brylant z korony Napoleońskiej; moralizował p. A.

Konduktor zemścił się cichém westchnieniem, pokornym ukłonem i prośbą o litość nad jego dziećmi i żoną upadającą pod brzemieniem pracy.

— Przecież dwóch odźwiernych trzymać nie będę, jednego już mam, a pałacu drugiego dla pana nie kupię;—ofuknął zniecierpliwiony gospodarz i dodał jakieś przysłowie szkaradną francuszczyzną.

Wówczas b. konduktorowi krew uderzyła do głowy i śmiejąc przemówił:

— To może jest u szanownego pana miejsce na guwernera? — dobrze władam językiem francuskim.

— Pan... umiesz po francusku... pan?! pytał ze zdziwieniem p. A., poprawił okularów, już chciał poprosić siedzieć kandydata na odźwiernego, ale niedowierzając mu ani sobie, zawołał córeczki i poprosił ję, aby „język tego pana wypróbowała”. Rozmowa popłynęła z wybournym akcentem, córeczka była zachwyconą. Wówczas ojciec znowu zapytał, jakim sposobem człowiek tak pięknie edukowany został konduktorem? Poszukujący kawałka chleba był szczerym jak dziecko i przyznał się, że w młodości stracił cały majątek po ojcu, stracił go głównie w Paryżu...

— Możesz pan i brylanty kupować?

— Niestety, kupowałem i znam się na nich jak jubiler.

— A co pan o tych powiesz? zapytał i z pychą pokazał mu jeden z klejnotów koronnych. Konduktor podziwiał czystość blasku i uznał cenę za bardzo niską; uradowany gospodarz rzekł, zamykając z hałasem pudełko:

— Pan będziesz odźwiernym ale nie przy drzwiach od ulicy tylko przy moich brylantach; dla takich znawców chleb zawsze się u mnie znajduje.

I rzeczywiście konduktor otrzymał niezłą posadę; pierwszy raz w życiu nie wyrzucał sobie grzechów młodości, pierwszy raz marnotrawstwo wyszło mu na pożytek.

Do gawędy o Warszawie w prasie zagranicznej, pomógł także p. K. właściciel jakiejś wilczej kniei, który obstałował u warszawskiego puszkarza fuzyą swego wynalazku, która strzela na minutę sto razy i waży tyle co piórnik lub igielnik. Wiadomość taka w obecnej chwili, kiedy ludzie waryują od morderezych wynalazków, musiała narobić wrzawy w ministeriach wojny; wynalazca, z zapadłego kąta był przedmiotem poszukiwań, wysłano za nim agentów i listy gończe... ale dotychczas nigdzie znaleźć nie mogli ani wynalazcy, ani puszkarza.

Jest to pewnie mistyfikacja, na podobieństwo tój, jaką przed trzydziestu laty puścił w świat ś. p. Rudnicki o „perpetuum mobile”, chcąc dać wiadomość o sobie rozproszonęj po śmierci rodzinie. Taki podstęp przebacza się;—od perpetuum zakotłowało na chwilę w całym świecie gazeciarskim i nazwisko mniemanego wynalazcy doszło do tych, którzy już opłakiwali syna i brata.

Trzecią osobliwość roznoszącą naszą sławę, zawdzięczamy nie sobie lecz jakiemuś francuskiemu przyrodnikowi, który ogłosił poważnie w „Figarze”, że w Azji rosną szparagi tak duże jak człowiek, że jedna taka kłoda wystarcza na nasycenie kilku ludzi wygłodzonych. Kolega jego, chcąc się popisać jeszcze z głębszą erudycją, ogłosił w „la France”, że jakkolwiek szparagi są okazem zadziwiającym, jednakże tylko dla tych, którzy nie zbadali dostatecznie bujnej przyrody azyatyckiej, w której wszystko dosięga rozmiarów kolosalnych; np. pod Warszawą, położoną w tój samej sferze, rodzą się marchew i pietruszka tak grube jak dęby, a gospodarze chcąc te rośliny wysuszyć, piłują je na deski i układając w sterty na słońcu!

To nie humorystyka, to rzeczy głoszone poważnie przez tych samych reporterów, którzy będą pisać sprawozdania z kongresu astronomów... Dowiemy się ciekawych rzeczy o marchwi i pietruszce na Marsie i Księżycu — Warszawa w kąć pójdzie.

Umyślnie wysunąłem na front te bajdy wygłaszane z zachwałą gaskonadą, aby nadzwyczajności, jakie rzeczywiście posiadamy, nie tak bardzo nas raziły;—do owych szparagów i marchwi pod względem monstrualności bardzo jest podobny los konduktorów tramwajowych i służebnic w zakładach gastronomicznych.

Najwytrwalszym, jakby przysięgłym obrońcą niższej służby tramwajowej jest w prasie naszej „Kurier Poranny”; kiedy inne pisma cieszyły się, że kapitały belgijskie stanęły do walki z kapitałami niemieckimi, kurier ręk z radości nie zacierał. Wytrwale śledził on działalność administracji tramwajowej i wykrywał coraz nowe wyzyski biedy ludzkiej. Inne pisma, a i my z niemi, tylko półsłówkiem upominali zarząd tramwajów, kurier smagał go całą dłonią. Miał dobre przeczucie—wyszła na jaw prawda, że czy Niemiec, czy Francuz, czy Belgijczyk jednakowo potrafi skórę z nas zdzierać.

Wyzyskiwanie służby niższej doszło do tego stopnia, że konduktorzy przeciążeni pracą, która im nie dała chwili wolnej nawet na spożycie obiadu i spoczynek w nocy, gotowi byli rzucić się pod koła wagonów aby raz skończyć z nędzném życiem. Ale przedtem zaprzestali służby, przez kilka godzin kurs wagonów został wstrzymanym; nie była to zмова, bo nikt z biedaków ust nie otworzył, mówiły za nich żołądki puste, ręce bezwładne. I dopiero doprowadziwszy ludzi do ostateczności, zarząd tramwajów opamiętał się i przyznał, że konduktor ma te same potrzeby co koń. Nieporozumienie, wywołane nadzwyczajnemi oszczędnościami, zostało jakoś załataném.

Tę całą historją powtarzamy za naszymi dziennikami, które prawie jednomyślnie dały zarządowi nagang; powtarzamy bez żadnej zawiści do kapitału, który bardzo lubimy i szanujemy jako wiosło, co łódź życia przepchnie po najburzliwszej fali. Nas obchodzi nie strona ekonomiczna przedsiębiorstwa ale drażnienie człowieka. Jeżeli procenta spodziewane nie dopisują, niech sobie kapitałiści radzą inaczej ale nie wyzyskiwaniem tych, którzy oddają wszystkie swe siły do ich dyspozycji; nie godzi się czynić prób z człowiekiem i dopiero kiedy biedak założy sobie stryczek na szyję, wołać: dosyć! oderżnąć go! Takie próby szczepią w człowieku złość zwierzęcą, paznokcie jego

przemieniają w szpony, oczy zasypują zarzewiem, a serce pod-
mawiają do nienawiści.

Jeżeli ten sam system oszczędnościowy praktykuje się
w przemyśle zagranicznym, to zrozumiałe są dla nas gwałty,
depczące wszelkie prawo, jakie się dzieją w Belgii; gwałty, po-
za któremi idzie zniszczenie winnych i niewinnych są zarazą, co
na długie lata zapuszcza zarazki w życie publiczne i rodzinne.

Mniej wprawdzie głośne ale równie przygnębiające wyży-
skiwanie praktykuje się po restauracjach warszawskich: — naj-
częściej służba jest bezpłatna a za cały zarobek ma to tylko,
co od gościa dostanie lub wydrwi. Długa to historia ten za-
robek niemoralny — dotknęliśmy go tylko przelotnie a wytkamy
palcem spekulacją w zakładach jadłodajnych, węg i w mleczar-
ni na wystawie higienicznej. Służba poluje tylko na napiwki;
usługujące dziewczęta skarżą się przed gośćmi na swoje poło-
żenie i lamentem wyłudniają większy datek, boć niepodobna od-
mówić wsparcia biednej kobiecie, która nie mając zajęcia przy-
staje na najgorsze warunki. „W miarę zwiększania się ilości
kandydatów obniża się cena pracy” — zasada to słuszna w teo-
ryi ale w praktyce doprowadzić musi do rozboju.

Nie wykładamy tu ekonomii politycznej, owę mistrzyni,
która już miała zastąpić ludzkości ewangelią Chrystusową;
z mistrzyni drwią sobie już na cały głos dla protekcyjne, za-
prowadzone na wszystkich granicach, chociaż mistrzyni nau-
czała, że na wolny handel nikt ręki nie podniesie. Nie wykla-
damy ekonomii ale zwracamy uwagę, że na wystawie higienicz-
nej takie niehygieniczności dziać się nie powinny.

Malutkie monitum otrzymałem od pewnej szanownej ma-
tki, zgorszonej najnowszą komedią Dumasa, grywaną właśnie
teraz — a na szczęście bardzo lichy — w Teatrze Rozmaitości.
Matka gniewa się na nas, że doskonale rozprawiając o ku-
chniach tanich, milczymy o teatrze, który także gotuje źle lub
dobrze, posila lub zatruiwa.

Wdzięczni jesteśmy za naganę, jaka się udziela tylko lu-
dziom w których słowa wierzymy, ale gdybyśmy chcieli o każdej
sztuce niemoralnej czytelników swoich uwiadamiać, to wska-
zywalibyśmy owoc zakazany, któryby skusił niejednego i nie-
jedną. Myśleliśmy nad sposobem, aby czytelniczki ostrzegać
przed sztuką gorszącą ale nie dotychczas wymyślić nie mogli-
śmy takiego, coby przywilejom teatru nie wchodziło w drogę.

Teatr chcąc żyć, musi przedstawiać rzeczy złe i dobre,
które mają rozgłos zagranicą, teatr musi dbać o dochód kaso-
wy i o repertuar ciągle nowy; nie upoważnia go to do przed-
stawiania rzeczy skandalicznych, napisanych przez byle kogo,
ale taka powaga dramatyczna jak Dumas, rozgrzesza nawet
z takiej komedii jak „Francillon”.

Jak są pisma zajmujące a jednak tak redagowane, że
można je śmiało dać do ręki młodzieży, tak samo mógłby
istnieć teatr z tą samą moralną a jednak nie nudną tendencją.
Taki teatr jest dla nas potrzebnym, czy zaś byłoby to przed-
sięwzięcie korzystne — to zależałoby od nakładu, od wystawy
i innych zbytków scenicznych, bez których dziś nawet najmo-
ralniejsza sztuka obejść się nie może.

Na teraz dać możemy tylko taką radę: nie iść nigdy na
pierwsze przedstawienie, zostawić je tym co już znają męty
światowe lub muszą wiedzieć o wszystkiém. Nie spieszyć się
także na następne. Przez ten czas opinia dojdzie do uszu naszych
a nawet matka, która nie ma czasu czytać recenzji teatralnych,
pisanych na różne tempo, dowie się czy sztuka nie zarumieni
jój dziecka uczciwie wychowanego.

Nie każda matka zdobędzie się na odwagę taką, jakiej
dała dowód nasza szanowna korespondentka, opuszczając łóżę
po pierwszym akcie komedii, nurzając się od początku do
końca w kałuży. — Jednym wstyd przyznać się jawnie do obu-
rzenia; inni nie chcąc uchodzić za prowincjonalistów lub świę-
toszków, połykają do końca słowa i myśli wstrętne; innym
wreszcie... szkoda zapłaconych biletów. Komedii Dumasa
„Francillon”, która pewnie obieży wszystkie trupy prowincyo-
nalne, jako rzecz modna, nie powinna widzieć uczciwa kobie-
ta, która spokojną jest o zacość swego imienia i na męża swe-
go nie potrzebuje obmyślać zemsty, a ileż to w naszym teatrze
poznało tę sztukę nietylko kobiet uczciwych ale nawet ich
córek, o których uszy nigdy w domu ani w towarzystwie nie
obily się podobne szpetności.

Mimowoli oczy nasze śledziły wrażenia na młodzieńskich
moich sąsiadkach — wiosenne kwiatki wędły i paliły się pod
wpływem paryzkich obyczajów. Miałem ochotę szepnąć: — wyjdź-
cie panie! Żal mi było tych serc młodych i z oburzeniem pa-
trzyłem na ojca zadowolonego z aktorów, ze społeczeństwem zaś
na matkę, która czuła w jakie piekło wprowadziła swoje dzieci
a nie miała odwagi wyjść zaraz z niego. Dosiedziały do końca;
wychodząc ojciec jeden był zadowolonym z siebie i z Dumasa,
matka smutną, stroskaną miała minę a córki trzymały oczy
spuszczone w ziemię... Jeszcze spuszczone, ale po kilku takich
znajomościach jak „Francillon” oczki ich śmiało zaczęły patrzeć
przed siebie, aż w końcu zapytają nieznajomego: — Jakże się
panu podobało? i odpowiedzą: — Mnie bardzo!

Możemy powinszować naszym dramaturgom, że bronią się
wpływem zdenerwowanej sztuki francuskiej a specjalnie paryz-
kiej; — starają się oni wytrwać na gruncie swojskim, nie prze-
sadzają wad społecznych, nie kalają tego, co mimo wszystkich
wpływów złych jeszcze wstydu nie straciło. Szkoda, że autor
dramatu „Lena” nie poszedł za przykładem swych starszych ko-
legów; dał się on uwieść muzie szpetnej i napisał sztukę dla nas
obcą a dla obcych już zanadto ogadaną. W „Lenie”, pomimo
niedostatków wielu, są miejsca piękne, szczerze poetyczne, za-
powiadające przyszłość pomyślną; na nich więcej gruntujemy
swe wróżby o talencie młodego autora niż na zapowiedzi afisza
teatru ogródkowego, który obwieścił Warszawie fakt olbrzy-
mięj doniosłości, że na przedstawieniu będzie autor.

Dyrektorowie trup prowincjonalnych wożą w swych
aktorskich tłumoczkach buławy hetmańskie wielkie i małe,
złocene, srebrzone lub tylko na zielono malowane; jedną
z nich ofiarowano autorowi „Leny” ale autor daru tego nie
przyjął i zaprotestował w „Kuryerze Warszawskim”.

Z Wystawy higienicznej na dziś nie mamy nic do za-
notowania; kiedym miał czas, to padał deszcz tak ulewny,
że niepodobna było spacerować po ulicach niebrukowanego
miasta a skoro słońko wypłynęło na niebo, musiałem sie-
dzieć przy redakcyjnym biurku. Tylko raz w ciągu tygodnia
wpadłem w opłotki wystawowe i uratowałem od śmierci...
żabę.

Na trawniku pokazała się żabka, która spadła praw-
dopodobnie z chmurą. Zielone stworzenie wywołało entu-
zjazm publiczności; zaczęto powtarzać, prawie śpiewać —
żaba! żabka! żabcia! — tak jakbym słyszał echa paryzkich
śpiewek na cześć dymisywanego Boulanger’a... Żabka ska-
kała, straszona parasolkami i klaskaniem; jakoś wypadło, że
kapela lubliniaków wygrywała kujawiaki a stworzenie w takt
podrygiwało.

Bawiliśmy się doskonale, lepiej niż panowie sportsmani,
którzy przegrawszy na wyścigach wszystkie stawki, kupili
sobie za duże pieniądze... duży wstyd. Nagle wpada między
nas jakiś wyrostek, bardzo przystojnie ubrany, i odłamkiem
cegły jednym i drugim, które wynalazł pod płotem, atakuje
żabę... pragnąc oczywiście jój śmierci. Wszyscyśmy się na
chłopca oburzyli, ten chciał go porwać za kark, inny za uszy
a ja żabę zasłoniłem parasolem. Zrobiła się burza w szklane
wody i poczęto pytać: — Gdzie twoja matka kawalerze?

— Niema tu mojej matki — odpowiedział chłopak z za-
iskrzonemi oczyma.

— A jakże tu wszedłeś... z ojcem, czy z guwernerem?

— Wszedłem za biletem! — mówił hardo i ciskał resztę
cegły w mój parasol, pod którym żabka siedziała.

— Ja ciebie, moje dziecko, odprowadzę do domu i po-
skarżę się przed mamą; pogroził jakiś poważny pedagog.

— Nie zastaniesz pan mamy — poszła z tatkiem i Anusią
do teatru na „Francillon”.

— Któż to jest Anusia?

— Moja siostra.

Synek ten ma wszelkie prawo mordować żabę... wszak ro-
dzice jego teatralną trucizną zabijają własne dziecko.

CARMEN.

OBRAZEK Z ŻYCIA POŁUDNIOWO-AMERYKAŃSKIEGO,

skreślił podług osobistych wspomnień

D-r Józef Siemiradzki.

I.

W pokoiku donny Carmen panuje uroczy półcień. Przez szpary zapuszczonych, ciężkich żaluzji wciska się tylko kilka natrętnych promieni równikowego słońca, rzucając wąskie, białawe smugi światła na zawieszoną na ścianie, pożółkłą ze starości rycinę, przedstawiającą Boliwara na koniu, wywijającego jedną ręką dobytym pałaszem, drugą zaś, nieodzownym atrybutem każdego wodza na rysunkach — lunetą czy też zwojem bibuły. Na lewo w kącie widnieją krosienka z rozpoczętą robótką, w głębi jakiś widoczek wyklejany z włosów — zapewne pamiątka po matce Carmen; wokoło niego kilka spłowiałych od słońca dagerotypów i fotografii.

Na środku pokoju, w ozdobnym hamaku niedbale wyciągnięta, używa poobiedniej siesty piękna Carmen, rozpieszczona jedynaczką najwyższego dygnitarza górskiego miasteczka — komendanta placu, pułkownika don Manuela Ribery. Na przydomek pięknej, który jej w miasteczku nadano, zasługuje w zupełności: gładka czarna suknia obejmuje jej kształtną kibić, rysy drobne, cera jak śnieg biała, ręce delikatne, dziecinne; bujne czarne włosy zaplecione w dwa warkocze, z tym złotawym połyskiem, którym się szczycą hiszpanki, duże czarne oczy, brwi jakby mistrzowską nakreślone ręką, stópka drobnutka w zgrabnym pantofelku; wszystko to zdaje się mówić: „*Aimer, prier, chanter — voilà toute ma vie!*”

Donna Carmen nudzi się, bo i jakżeby się nudzić nie miała, nie mając nikogo przy sobie do zabawy. Matka odumarała ją dawno; ojciec wyruszył na czele swego batalionu na poskromienie szerzącego się w kraju powstania i od dwóch już miesięcy nie daje znaku życia; zresztą w domu ani żywej duszy: nawet mała indyanka Rosita, oddana na wyłączne usługi panienki, wyszła na miasto.

Samotność usposabia do marzeń, hamak — do lenistwa. W hamaku tak jakoś miękko, miło, rozkosznie... tak czas niepostrzeżenie upływa. Carmen buja się już od godziny a w pięknej jej główce roją się uroczne marzenia — marzy o rycerskim młodzieńcu, który zabłysnął na horyzoncie jej pragnień dziewczęcych, na którego widok serce jej mocniej bije i rumieniec żywszy występuje na lica, a od którego dzieli ją przepaść przekonań politycznych i przesądów rasowych jej ojca. Piękny Carlos jest bowiem jednym z przywódców partyi rewolucyjnej, ściganym oddawna przez listy gończe, a co gorsza — w żyłach jego płynie krew afrykańska.

Na tle tych różnic politycznych i rasowych, ukształtowały się stosunki społeczne w republikach hiszpańsko-amerykańskich i na tych też punktach wre walka zacięta, wybuchająca raz po raz w mordercze wojny domowe, sprawdzając wieszczą przepowiednię „Oswobodziciela” Boliwara: „*Rozpalilem pochodnię, która nigdy nie zagaśnie*”, w inném coprawda znaczeniu niż szlachetny generał przypuszczał.

Przepaść dzieląca bohaterów naszych większą też była istotnie, aniżeli by ktoś nieznający dokładnie stosunków społecznych Ameryki hiszpańskiej mógł sądzić. Carmen, córka dygnitarza partyi zachowawczej i szlachcica hiszpańskiego, dumnego z czystości krwi swojej, popełniłaby niesłychany megalians, wychodząc za mulata, należącego do partyi liberalnej. Poblążliwi do zbytku w wielu rzeczach, podobnego zapomnienia się krewni nie darowaliby jej nigdy. Miłość jednak jest ślepą i rozumować nie może: piękna Carmen jest w rozpacz i musi kryć się przed własnym ojcem z uczuciem, które jej piersi rozsada. O! to straszne, to nie do wytrzymania! raz to skończyć trzeba; niech tylko ojciec powróci, padnie mu do nóg, wyzna miłość swoją — ojciec jej wysłucha, może przez miłość dla niej *jemu* przebaczy.

I z nikim pomówić, nikogo się poradzić, nikomu się zwierzyć z tego co ją boli, znikąd słowa pociechy i nadziei! Bezwie-

dnym ruchem zdjęła ze ściany gitarę i uderzywszy parę akordów, zanuciła srebrzystym głosem jedną z tych piosenek góralskich, w których cały ból swój wypiewać można:

O! Dios mio, pobre de mi,
Que siendo libre me cautivé;
Si en el mundo libre m'hallara
Nunca llorara mi esclavitud... (*)

Na ulicy zatętniały kopyta końskie. Carmen drgnęła: przecucie szeptało jej, że to on, jej Carlos. Rzuciła gitarę w kąt i lekko, jak sarenka, skoczyła do okna, ostrożnie uchylając zasłaniającą jej widok firanki. Przecucie nie zawiodło jej — to był on istotnie, w całej pełni męskiej piękności dwudziesto-kilkoletniego młodzieńca.

Wysmukły brunet, śniadą swą cerą i kręconymi włosami zdradzał domieszkę krwi murzyńskiej; ubrany w zgrabną akşamitną kurtkę, malowniczo zarzuciwszy na ramię barwiste *poncho*, w szerokim słomkowym kapeluszu, ślicznie wyglądał na śpionionym złocisto-cisawym koniu, którego spinał raz poraz ostrogą, do najdzikszych zmuszając go skoków i ewolucyj. Raz, w szalonym pędzie, mijając dom swój lubież, osadzał nagle w miejscu wierzchowca przed jej oknami; to znów chwytał w pełnym galopie, schylając się z siodła, kapelusz porzucony na ziemi, lub też zmuszał rączego bieguna do harców na miejscu. Rumak parskał rażno i, jakby rozumiejąc, że tu o popis chodziło, posłuszny najłżejszemu skinieniu pięknego jeźdźcy, z wdziękiem, godnym swych arabskich przodków, łbem wyrzucał, ogon odsadzał i nogami przebierał. Nareszcie jeździec dostrzegł wyglądające z poza zasłony czarne oczy i drobną rączkę, posyłającą mu całusy — machnął kapeluszem na pożegnanie, spiał konia ostrogą i pomknął jak strzała. Czarne oczy przeprowadzały długo oddalający się obłoczek kurzu; obłoczek ten malał coraz bardziej, aż znikł razem z jeźdźcą w wawozie.

Piękna Carmen powróciła rozmarzona do przerwaną siesty w hamaku. Bujała się tak długo, marząc o niedoścignioném szczęściu, aż i słońce zaszło, i noc gwiazdzista zapadła, a na szablę i lunetę Boliwara, zamiast ciepłych promieni słonecznych, blade światło księżyca padać zaczęło. Z oddali dobiegały tęskne nuty indyjskiej piosenki góralskiej; w sąsiednim sklepiu ktoś brząkał na gitarze; od czasu do czasu rozlegały się okrzyki warty z pobliskich koszar lub odgłos miarowych kroków przechodzącego patrolu. Gwar uliczny słabnął coraz bardziej, aż wreszcie ucichł zupełnie.

Naraz, tuż pod oknami, dał się słyszeć brzęk gitary. Znajomy, męzki głos nucił tę samą piosenkę, którą śpiewał przy pierwszym ich poznaniu, kiedy podczas uroczystości Bożego Narodzenia, dom jej ojca, jako gospodarza fety, stał przez dwa tygodnie otworem dla wszystkich bez różnicy barw politycznych, kto chciał wesoło święta w domu gościnnego pułkownika spędzić. Głos śpiewał:

Morenilla, regala me esta flor! — no! no!
Por ventura me dejaste de amar! — si! si!
Ya me muero de congojos y afliccion
Morenilla no me niegues tu compasion! (**)

Skoczne zrazu tempo piosenki przechodzi w miarowe tony; Carmen chwyta gitarę i, akompaniując niewidzialnemu śpiewakowi, zbliża się do okna... Czyby nie wyjrzeć? — jakoś niewypada, a nuż kto zobaczy... lecz śpiew się oddalać zaczyna, słabnie. On już odchodzi... Carmen wychyla głowę — dostrzegł ją, silniej w struny uderzył i znikł w cieniu nocy, kończąc ostatnią zwrotkę:

Angel divina! bella deidad!
Hermosa perla! concha i coral!
Aqui me tienes, rendido ya
Si tu no m'amas, voy espirar! (***)

Jeszcze jeden urwany akord na dobranoc i gitara i głos zamilkł.

- (*) O mój Boże, ja nieszczęśliwy,
Iż będąc wolnym zaprzedałem się;
Jeżeli bym był wolny na świecie,
Nie oplakiwałbym swojej niewoli.
- (**) Bruneteczko, daj mi ten kwiatek! — nie! nie!
Przestałaś mi już kochać — tak! tak!
Już umieram ze zgryzot i rozpacz,
Brunetko, nie odmawiaj mi swego współczucia!
- (***) Bozki aniele, piękna bogini,
Wspaniała perło, koncho i koralu
Oto jestem, zwalczony już,
Jeśli mi nie kochasz — umrę!

II.

Na rynku grzmi kapela wojskowa; tłum różnobarwny wyległ na ulicę powitać powracających zwycięzców. Ten biegł uściskać brata, ów ojca, ta narzeczonego lub męża; gdzieindziej strapiona matka daremnie wyglądała syna jedynaka, poległego na polu bratobójczej walki. Wśród tłumy dostrzegamy i nasze znajomą Carmen, szczerze otuloną w czarną „mantę”.

Znużone, zakurzone postacie, ogorzałe twarze w szero- kich kapeluszach, podarte i splowiałe mundury przechodziły w szyku bojowym przed oczami tłumy, a na ich czele jechał na pięknym kasztanku dowódca—siwy jak gołąb starzec, otulony w wełniane *poncho* i pokręcając machinalnie sumiastego wąsa, spoglądał przed siebie z pod brwi krzaczystych, rychło li jego skarb jedyny, jego jedynaczka na spotkanie starego ojca wybieży. Przy boku pułkownika jechał jego adjutant, porucznik don Antonio Robledo, uwielbiany przez wszystkie kobiety—oprócz bowiem pięknej powierzchowności i znacznej fortuny, posiadał on zaletę niepospolitą: mieszkał parę lat w Europie, a chodziły nawet wieści, że uzyskał doktorat w Sewilli, chociaż dyplomu jego nikt nigdy nie oglądał. Sam fakt jednakże, iż młody i przystojny porucznik, syn zamożnej szlacheckiej rodziny, zwiedził Europę, znał Madryt, Barcelonę, Londyn i Paryż, otaczał jego osobę taką aureolą, jaką byłby otoczony np. Stanley, gdyby się nagle ukazał, przypuścimy... w Lublinie. Panie więc szalały za nim wszystkie, z wyjątkiem jednej Carmen, której on jednakże może właśnie dlatego, że mu niechęć wyraźną okazywała, usilnie towarzyszył, a mówiono nawet, iż rękę jęj miał już przez ojca przyrzeczoną. Zazdroszczono szczęśliwej dziewczynie.

Carmen, ukryta w tłumie, wysunęła się naprzód i w chwili, gdy ojciec koło niej się znalazł, zrzuciła zakrywającą twarz mantę, pochwyciła rękę starca i zaczęła ją okrywać pocałunkami. Pułkownikowi łzy w oczach stanęły; zsiadł z konia, rzucił cugle żołnierzowi, a sam, objawszy wół jedynaczkę, słuchając jęj wesołego szczebiotu, udał się pieszo ku domowi. Carmen tyle mu miała do powiedzenia, tyle faktów niezmierniej wagi stało się w domu podczas jego niebytności: wierzchowa klacz Carmeny ma ślicznego źrebaczka; Rosita miała lekką gorączkę; duży pies, stary ulubieniec pułkownika, gdzieś przepadł bez śladu; dwie wielkie szkarłatne róże na krosienkach były już na ukończeniu; kuzynka Mercedes wyszła zamaż; ciotka Asumpcion przeniosła się do wieczności; ksiądz proboszcz nauczył ją smażyć wyborne konfitury z guayawy; wreszcie... ale to „wreszcie” było najtrudniejszym do wypowiedzenia i, pomimo najlepszych chęci, dziewczyna nie była w stanie go wykrztusić. Los przyszedł jęj z pomocą.

Na biurku oczekiwało komendanta kilka kopert urzędowych; rozpierając je po kolei, przeczytał i spokojnie do szuflady schowawszy, powrócił do córki. Musiał jednak coś niezbyt przyjemnego w przejranych depeszach napotkać, gdyż pomimo pozornego spokoju był roztargniony, odpowiadał niedorzeczy i szarpał wąs niecierpliwie. Wiedzioną kobiecym instynktem Carmen, zapytała z figlarnym uśmiechem, całując go w czoło:

— Co ci to, ojczulku? takiś smutny, jak gdybyś się nie cieszył z oglądania swojej pieczyoszki.

— Nic wielkiego, sprawy urzędowe trochę mię wzburzyły. Ledwie wróciłem z wojny, a tu zastaję ostrą naganą za niewykonanie dekretu rządowego — jakgdybym mógł jednocześnie być na polu bitwy i w mojej kancelaryi. Także dzika pretensya! Oskarżają mię o brak energii w ściganiu, mającego się niby pod boki moim znajdować, jednego z głównych przywódców rewolucyi Carlosa i grożą dymisyą, wrzecie gdybym go żywego czy umarłego nie dostawił do głównej kwatery.

— Carlosa? — powtórzyła Carmen machinalnie, a twarz jęj tak nagle zbladła, że teraz na zaniepokojonego ojca przyszła kolej zapytać:

— Co ci to, moje dziecko? czyliżby tak bardzo to cię obchodziło?

Dziewczę powstrzymywać się dłużej nie mogło i wybuchło głośnym płaczem.

— Ja... ja... go... kocham — wyjąkała łkając.

Czoło pułkownika zasępiło się na te słowa, głos z pieczy- otlwego stał się surowym i groźnym.

— Więc takim jest owoc moich zabiegów i zasad, którem się starałem wpoić w ciebie od lat niemowlęcych! Więc moja córka, w której żyłach niezmacona ani jedną kroplą afrykańską czystą krew kastylskiej szlachty płynie, o której względy najpierwsza młodzież w kraju się ubiega — wybrała sobie tak godny przedmiot dla swojej miłości... włóczęgę, zbójcę, murzyna, ściganego przez prawo! Pięknej się doczekałem pociechy z jedynaczki, której strzegłem jak oka w głowie! Ale nic z tego, dziecko jesteś jeszcze, nie rozumiesz ogromu zbrodni, którąbyś popełniła, wychodząc za Carlosa. Zakazuję ci stanowczo widywać się z nim; pomiędzy znajomą młodzieżą tuziny odpowiedniejszych dla siebie mężów znajdziesz, a wiedz o tém, że jeżeli Carlosa schwytam, nie znajdzie on u mnie miłosierdzia;—sąd wojenny, jak ci zapewne wiadomo, żartować nie lubi. Dość tych płaczów, otrzyj łzy, bo słyszysz czyjeś kroki.

W przedpokoju dało się słyszeć lekkie chrząkanie i we drzwiach ukazał się Robledo, wyświeżony, jakby z paryskiego żurnala wycięty, muskając piękne blond faworyty. Na widok zapłakaną Carmenę zawahał się chwilę, lecz, zaproszony uprzejmie przez pułkownika, z eleganckim ukłonem próg przestąpił.

— Cóż to pięknej Carmenie łzy z oczu wyciska? Czy kto skrzywdził w czém panią?—byłbym niewymownie szczęśliwym, gdybym w czémkolwiek mógł być pomocnym.

Carmen, ocierając chusteczką czerwone od łez oczy, nie mogła się zdobyć na odpowiedź; wyręczył ją ojciec.

— Biedaczka wynudziła się tu bez nas śmiertelnie, teraz nie może się nacieszyć nami, a że u kobiet, jak ci poruczniku wiadomo, o łzy nie trudno, widzisz moją Carmencitę spłakaną, jakby ją największe spotkało nieszczęście. Dobrze żeś przyszedł — rozerwie się trochę.

Z miny pułkownika zmiarkował jednak Robledo, że coś niezwykłego zająć musiało. Carmen w parę chwil później, żaląc się na ból głowy, wyszła do swego pokoju, pułkownik zaś, siłąc się na grzeczność dla gościa, był dziwnie roztargnionym. Porucznik, domyślając się sceny familijnej, po upływie etyki- etalnego kwadransa rozmowy o niczym, wycofał się, czując, że obecność jego była tu zupełnie zbyteczną.

(Dokończenie nastąpi.)

Z KSIĄŻKI I Z ŻYCIA.

Setny Jubileusz Fraunhofera.—Zmienne losy koleje.—Ulica Żydowska w Frankfurcie.—Jak powstał Rotszyl. — Odważny chirurg.

Na cmentarzu w Monachium znajduje się grobowiec Fraunhofera z tym dumnym na kamieniu napisem: *Approximavit sidera.* (Przybliżył gwiazdy.) Żywot tego męża zadaje kłam wszystkim, którym się zdaje, że okoliczności wyrabiają człowieka, bo czyż mogą być okoliczności mniej sprzyjające od tych, w jakich urodził się uczony, którego setną rocznicę obchodziła niedawno Bawarya?

Dziecko biednego gisera w Straubing, tak wątłe, że r- kowano mu śmierć wczesną, młodość spędził w niedostatku i nędzy, bez kierownictwa i światła nauki; zajęciem jego było wyganianie gęsi chłopskich na łąkę. Któżby powiedział, że ten pastuszek, z zarodkiem śmierci w piersi, otworzy nowe tory wiedzy i spiżowemi głoski zapisze swe imię w jęj księdze?

Osierocony w 12 roku, Fraunhofer przybył do Monachium na naukę do szlifierza szkła Weichselbergera. Majster był to człowiek przykry, ograniczony i ciemny, używał chłopca tylko na posyłki i posługi i nie puszczał go nawet do szkoły niedzielnej, gdzie mógłby się czytać i pisać nauczyć. Dwa lata terminował u niego Fraunhofer, gdy lepianka szlifierza zawa- liła się nagle i pogrzebała w zgłiszczach jęj mieszkańców. Kie- dy z trudem rozkopano gruzy, znaleziono ofiary wypadku bez życia; chłopiec sierota cudem ocalał. Ocalenie to było nad- zwyczajnem; całe miasto mówiło o niem, wieść doszła do dworu i kurfirst kazał przyprowadzić do siebie uratowanego chłop- ka. Chłopak podobał mu się i odszedł z hojnym datkiem; je- dnocześnie książę polecił go radcy dworu Utzschneiderowi.

Dziwne bywają nieraz drogi przeznaczenia: chwilowy kaprys księcia stał się pierwszym powodem, że dziś przy pomocy lunety badać możemy najtajniejsze głębie niebios, że soczewkę fotograficzną doprowadzono do takiej doskonałości i tyle innych odkryć cennych stało się własnością nauki.

Utzschneider, jeden z najgłówniejszych ludzi, jakich wydała Bawaria, zmiarkował odrazu zdolności utajone w zaniebanym dziecku. Zajął się Fraunhoferem, był mu pomocnym w naukach i utorował drogę do przyszłości.

W czasie tym Utzschneider założył fabrykę narzędzi astronomicznych i mierniczych, tak dokładnych, że nie miały sobie równych w świecie. Do narzędzi tych potrzebne były lunety, do których szkła dostarczali dotąd Anglicy. Skutkiem blokady Anglii przez Napoleona, niepodobna było mieć soczewek angielskich; na lądzie zaś nikt nie potrafił przygotować w tym celu nawet szkła surowego. Dla artystów i uczonych powstał ztąd kłopot niemały i Utzschneider używał wszelkich środków, aby potrzebie zaradzić. Wreszcie dowiedziano się, że w Neufchatel mieszka niejaki Guinart umiejący przygotowywać flintlas; nieszczędząc kosztów, sprowadzono go do Monachium i założono odlewnię szkła optycznych. Fraunhofer pracując jako czeladnik w odlewni, poznał metodę lania szkła i po wyjeździe Guinarta do Szwajcaryi, zajął się sam przygotowywaniem soczewek optycznych.

Talentowi swemu a może szczęściu winien był wynalezienie sposobu fabrykowania szkła, którym zaćmił wszystko co przed nim zrobiono. A rzecz to nie była łatwa, jeżeli zwazymy, że jeszcze w 20 lat po śmierci Fraunhofera, rząd francuzki wyznaczył bardzo wysoką nagrodę dla wynalazcy doskonałych soczewek optycznych.

Dzisiejsze wyroby przewyższają o wiele szkła Fraunhofera. We Francyi i Anglii przygotowują bryły szklane, z których szlifować można obiektywy do lunet mające 30 a nawet 36 cali średnicy, a amerykanie budują teleskopy olbrzymie, soczewki których przechodzą czterokrotnie szkła dawniejsze. Pomimo to Fraunhofer nie przestanie być ojcem optyki, on bowiem utorował pierwszy drogę następcom.

Narzędziami, wyszłemi z jego ręki, przełamane zostały szranki niebios i wymierzone odległości gwiazd stałych; do dzisiejszego dnia astronom nie zna dokładniejszych instrumentów mierniczych od tych, jakie zbudował mechanik bawarski. Rodacy też słusznie się szcycą i z dumą czytają słowa wyryte na jego pomniku: *Ludowi memu ku czci i wzorowi*.

O ile podniosła jest energia człowieka, wypływającego na wierzch pomimo najnieprzyjawniejszych warunków, o tyle upokarzającym jest upadek, gdy wszystko uśmiecha się i powodzenie ułatwia. A ileż razy i tak bywa w życiu, iluż to ludzi marnieje wśród dostatków, ile niedołęztwa kapitułuje bez wyzwania do walki.

Ten potomek wielkiego rodu, którego traf w herbowej wykołysał kolebce, czym będzie gdy wyrośnie? Czy doda promyk do aureoli sławiącej imię jego ojców, czy mądrym rządem utrzyma co oni zebrali? Może on zaćmi ich sławę, zmarnotrawi ich pracę i sam zmarnieje. Niejeden upada na drodze kwieciściej, gdy inny przez ciernie na szczyt się przedziera.

Kiedy byłem na wystawie elektrycznej w Wiedniu, wracając z wystawy zachodziliśmy często do jednej restauracyi na Praterze.

Usługiwał nam zwykle kielner już niemłody, bardzo sympatycznej powierzchowności. Inteligentny wyraz jego twarzy, ruchy i obejście, wysłowienie, zdradzały człowieka mającego lepszą przeszłość za sobą. Starałem się dowiedzieć coś o nim i przekonałem się, że przypuszczenia moje były słuszne: człowiek ten nie urodził się na kielnera.

Był on synem zamożnych rodziców, mających dobra w Galicyi. Jak tylko stał się panem majątku, zdał wszystko rządce, a sam wyjechał bawić się zagranicę. Po kilkoletniej fanfaronadzie po bulwarach i klubach, połowę majątku roztrwonil. Chcąc się odbić pojechał do Monaco i dobił się.

Ruleta pochłonęła resztę fortuny. Wracać do kraju nie było poco, żyć nie było z czego. Mógł jak wielu podobnych mu zakończyć farsę rewolwerem, lecz nie chciał a może nie miał odwagi? Przypomniał sobie jak w Paryżu i Wiedniu panoszył garsonów i kielnerów hojnemi datkami. Kiedy się stoło-

wał w Hotel Central, usługujący mu kielner za tytuł grafa do brze się oblowił; kielner ów był to chłopak sprytny, giętki w karaku i miał już wówczas kapitalik nieszeptny. Gdybym i ja spróbował podobnego zarobku? Nie mając innego punktu wyjścia, galicyanin wrócił do Wiednia i przybrał się w frak i serwetę. Traf zdarzył, że właścicielem zakładu był właśnie ów kielner z Hotel Central. Los bywa ironicznym.

Kiedy przyjechałem do Lublina i szukałem mieszkania, zaszedłem do jednej trzypiętrowej kamienicy przy ulicy Kapucyńskiej.

Na podwórzu kopano fundamenta pod oficynę, a przy robotnikach stał żyd brudny, w wyszarzanym hałacie i zdawał się przyglądać kopaniu. Nie mając kogo zapytać o właściciela domu, zapytałem go o to.

— Właścicielem ja jestem, odpowiedział.

Odskokczyłem zdumiony. On właścicielem takiej posesyi! Musiałem jednak uchylić czoło przed faktem.

Mieszkanie podobało mi się i chciałem je wynająć. Ułożyliśmy się o cenę, szło jeszcze o spisanie kontraktu; właściciel odesłał mię do rządce.

— A kto rządce? spytałem.

— Bardzo porządny człowiek, młody urzędnik, syn poprzedniego właściciela tego domu.

W zagadkowy nieraz sposób ludzie dochodzą do majątku; ten zawdzięcza go pracy mrówczej, inny trafowi lub szczególniejszym okolicznościom. W podobnych, podobniejszych do baśni z Tysiąca i jednej nocy okolicznościach, powstał i majątek Rotszyldów.

Czy byliście kiedy w Frankfurcie nad Menem?

Ciekawe to zewszecmiar miasto, a jedną z najciekawszych w niem jest tak zwana ulica Judengasse.

Żydzi fankfurccy zajmowali oddawna wyjątkowe stanowisko pomiędzy niemieckimi żydami; z uwagi na pewne usługi finansowe, jakie wyświadczyli cesarzowi, używali szczególniejszej protekcyi. Nazwa Schutz-jude była niejako gładem, zabezpieczającym ich od prześladowań, na jakie wystawieni byli ich wyznawcy. Śmiesznym nieraz podlegali ograniczeniom. Tak zwany Römerplatz w Frankfurcie, przedzielony jest fontanną i strumykiem na dwie części, Römerberg i Samstagsberg: nie wolno było żydowi zatrzymywać się na pierwszej, tylko na drugiej. W pewnych miejscach publicznych, czytać można było takie napisy: „Ni żydom, ni wieprzom wchodzić tu nie wolno”. Przez długi czas nosić musieli kawałek sukna żółtego na grzbiecie. Najbardziej zaś wyróżniał ich od reszty ludności przymus zamieszkiwania jednej ulicy, bez względu na ich liczbę.

Zakaz wzbraniający im wychodzenia za bramę Judengasse odwołany został przez Napoleona, gdy Frankfurt przyłączył się do konfederacyi nadreńskiej.

W wschodniej części Judengasse znajduje się dom Rotszyldów; urodził się w nim pierwszy Rotszyld, Majer Amszel, który miał tu swój bank i skrupulatną uczciwość łączył z niezwykłą przenikliwością.

Podczas wojen Rewolucyi francuzkiej Frankfurt i okolice jego zajęte były przez francuzów. W czasie tym książę elektor heski sprzedał żołnierzom swych Anglii, będącym w zatargach z wybijającą się na wolność Ameryką. Stary ten sknera zgromadził różnemi sposobami olbrzymi skarb, wynoszący około ośmiu milionów talarów. Kiedy francuzi zajęli jego księstwo, książę nie wiedząc gdzie ukryć skarb, powierzył go Rotszyldowi. Ten zwłóczył, lękając się zaplatać w niebezpieczną przygodę; wreszcie dał się skłonić; nocną porą ukryto w ogrodzie jego niezmierny stos złota i kosztowności, w chwili gdy eklererzy francuzcy wchodzili do miasta. W nadziei obłowy, przewrócono do góry nogami dom Rotszylda, lecz nic nie znaleziono, prócz gotówki, której bankier nie myślał wcale ukrywać. Kiedy francuzi opuścili miasto, Rotszyld zaczął operować szczególniejszą częścią powierzonego mu skarbu i w ten sposób założył fundament wielkiej swojej fortuny. Za powrotem do kraju, książę elektor zastał swój depozyt nietkniętym.

Nietylko w spekulacyi ryzyko wielką gra rolę; na każdym stanowisku przydać się może owa rzutność odważająca się na krok, gdzie tysiące innych się waha. Powiadają, że lepsze pewne niż niepewne; być może, kto jednak nie poświęci

tknie wywłaszczeniem tych polaków, którzy będąc poddany mi państw sąsiednich, posiadają w Królestwie lub Cesarstwie posiadłości ziemskie.—W ten sam sposób tłumaczy nowe prawo „Russkij kurjer”, który powiada, że jest ono odwetem za banicje pruskie, spełniane z takim okrucieństwem na ludziach bez winy, biednych, na starcach i dzieciach.

W szkołach bułgarskich—słowa „Mosk. Wied.”—szerzy się nadzwyczaj szybko wpływ katolicyzmu; z tego powodu wiele rodzin bułgarskich wysyła swoje dzieci na wychowanie do Rosyi.

Ślepe szczęście przypisuje „Świat” ks. Bismarkowi, którego podobno nie lubi następca tronu a zato ubóstwa syn następcy a ukochany wnuk cesarza. Choroba następcy tronu jest groźną; dostojny pacjent porozumiewa się tylko przez pismo, zakazano mu mówić; przy najłżejszym przełykaniu czuje ból w krtani; okłady zewnętrzne i smarowania wewnątrz dnem i nocą są aplikowane. Lekarze nic pociesającego powiedzieć nie są w stanie, a sam książę w mądrość ich nie wierzy; zmieniony bardzo na twarzy, nie stracił dobrego humoru. Księżna czuwa przy chorym ze słodyczą siostry miłosierdzia.

Pierwszy rozkaz dzienny nowego ministra wojny jen. Ferron nie jest wcale echem ligawki pokojowej, przeciwnie, minister ostrzega, że armie państw sąsiednich rosną, więc i armia francuzka rosnać musi. „Każdy dzień—kończy generał—poświęcę powiększeniu potęgi militarnej Rzeczypospolitej.” Niemcy tedy mają nowego Boulanger’a, może jeszcze gorszego, bo jen. Ferron ma być skromnym człowiekiem ale dobrym patriotą i żołnierzem służbistym.

Rośnie prawdopodobieństwo zgody między Stolicą Apostolską a Włochami. Ton dzienników papieżkich i rządowych jest jeśli nie zupełnie przyjacielskim, to pełnym wzajemnego szacunku i umiarkowania; oczywiście tylko dzienniki opozycji rewolucyjnej podawnemu piorunują. Król włoski, królowa i dwór cały nigdy nie uchybili w niczem czei dla Ojca Ś-go; teraz tę cześć starają się przy każdej sposobności manifestować. Nawzajem duchowieństwo katolickie okazuje głęboki szacunek dla monarchy, który uznając duchową władzę Ojca Ś-go nad narodem, teraz skłania się do wejścia w układy na warunku: zupełnej swobody Głowy kościoła, gwarantowanej prawami nieprzedawnionemi lecz zastosowanymi do obecnych przekształceń politycznych. Szczerzy patrioci włoscy pokładają ufność w dobrą wolę króla i w genialność Leona XIII, który na rozwiązanie tego gordyjskiego węzła znajdzie sposób, wzmacniający tron królewski, powagę Włoch a przywracający Stolicy Apostolskiej majestat należny opoce niezdobytj.

Rozgraniczenie terytoryalne w Afganistanie poczyną się obywać bez inżynierów i jeometrów. Batalion strzelców, setka kozaków i bateria artylerji wkroczyły do Kerki, położonej w obrębie państwa bucharskiego. Rząd angielski na ten krok odpowiedział milczeniem, chociaż opinia bardzo się zaniepokoiła a mapy wskazujące Kerki i drogi do niej wiodące są po tawernach londyńskich chciwie rozpatrywane. Gawrosze londyńscy robią dobry interes, sprzedając nowinę polityczną wylitografowaną na pudełkach z napisem: „Zapalki afganistańskie—niezawodne.”

Największa na całym świecie fabryka maszyn

PRZEMYSŁOWYCH I WOJENNYCH.

(Dokończenie.)

Próby, którym w zakładach Kruppa poddają wszelki materiał surowy, są nieomyślne; jeśli w ładunku żelaza znajdzie się choćby jedna sztuka zła, cały ładunek odrzuconym zostaje. Pod działaniem straszliwej siły, jakiemu sztuki poddają, prawie wszelkie żelazo i wszelki stal w pewnym punkcie złamać się muszą; to co odrzuci robotnik przy armatach, może być wybornem dla wyrabiającego koła dla kolei żelaznej, a stal odrzucona przez niego może jeszcze służyć wyrabiającemu osie. Widziałem pły-

ty przeznaczone na kocioł parowy, na cał do dwóch cali grube, podwójnie zgięte, niby cienkie sztabki; była to próba sprężystości. Płyta, która przy zginaniu pęknie, zostaje odrzuconą. Krupp w próbach swoich dochodził zawsze do ostateczności; w r. 1864, podczas wojny z Danią, kilka razy zdarzyło się, że tylne części jego armat pękały; oficerowie utrzymywali, że to stal temu winna, ale Krupp wiedział, iż tak nie jest i tęp gorliwiej pracować zaczął nad ulepszeniem konstrukcyi. Niedawno temu odrzucił zamówienie Ameryki, żądającej dostarczenia jej bloków stalowych na armaty, gdyż obawiał się, aby wadliwa konstrukcyja nie skompromitowała jego kruszcu.

Utrzymują powszechnie, że fabryka Kruppa posiada rozmaite sekrety: najcenniejszym jej sekretem jest właśnie dokładność wykończenia i możność podejmowania niezliczonych robót; następnie to, że Krupp dobroć roboty stawia przed zyskiem. Gotowość i możność czynienia wszelkich nakładów na próby obiecujące postęp, oraz zapewnienia sobie najlepszych kruszców i najzdolniejszych ludzi, to są Kruppa „jawne sekrety”.

Gdy kto czyta na papierze, jakie to olbrzymie przyrządy ta fabryka posiada, to tak samo, jakby czytał spis zwierząt kopalnych. Gdyby wszystkie te mastodonty, dinetherie i t. d. nagle poczęły się dokoła palontologa poruszać, wyć i ryczeć, byłoby to samo, jak żeby wszystkie potwory fabryki Kruppa w jednej izbie pracować zaczęły. W fabryce essenkiej jest 1553 pieców olbrzymich, 439 kotłów parowych, 450 maszyn parowych (przedstawiających razem siłę 18,500 koni), 1622 warstatów, 82 młotów parowych, 21 pociągów biegających po szynach, a dzienna potrzeba opału wynosi 3,100 tonn węgla i koks, spalane na 1648 ogniskach, buchających dymem przez kominy, z których jeden 280 stóp jest wysoki a przy podstawie ma 30 stóp szerokości. Dzienna potrzeba wody, doprowadzonej wodociągiem z rzeki Ruhr, wynosi 24,700 m. kub. Latarni liczą te zakłady 1778, w których spala się rocznie 7¼ miliona metr. kub. gazu, lubo teraz, wskutek zaprowadzenia światła elektrycznego, konsumcya gazu się zmniejszyła. Fabryka świętuje tylko w niedziele i w dwa czy trzy święta uroczyste.

Zakład Kruppa dostarczyć może dziennie: 2700 szyn (2½ mil), 350 obręczy do kół, 150 osi, 180 kół kolejowych, 1000 sprężyn kolejowych, 1500 granatów. W ciągu jednego miesiąca może wyrobić 250 dział polowych, 30 dział piętnasto centymetrowych, 15 dwudziesto cztero centym., 8 dwudziesto ośmio centym. i 1 działo 35 centymetrowe. Nazwy te i cyfry już na papierze robią potężne wrażenie, cóż dopiero mówić o tém, gdy ktoś znajdzie się osobiście wśród tych przedmiotów, może naocznie ocenić ich rozmiary, widzieć płomienie ich oddech i słyszeć głos ich potężny.

A jednak głos ten nie jest tak donośny, jakby się ktoś spodziewał, i właśnie tam jest najcichszy, gdzie siła największa. Maszyny, pod względem siły przedstawiają siłę motorową Niagara; siła ta wystarczylaby prawdopodobnie do wprawienia w ruch wszystkich fabryk w całych Niemczech, a jednak praca odbywa się do zadziwienia spokojnie. W jednej izbie stoi ośm olbrzymich maszyn i pras parowych, z których połowa tylko jest potrzebna do roboty; — reszta stoi ciągle w pogotowiu na wypadek, gdyby się która z tamtych popsula. W innej izbie stoi maszyna, mogąca sama jedna dostarczyć siły popędowej dla wszystkich robót; ma ona 50 stóp wysokości. Nie była czynną w chwili gdy ją widziałem, poruszała się jednak ciągle, zwolna i spokojnie, lubo od czasu do czasu wysokie jej koła obracały się z szumem, aby tylko siły swojej spróbować i zabezpieczyć się od pęknięcia. Nigdy nie widziałem bardziej uzmysłowionego obrazu siły pohamowanej.

Mały domek, w którym Krupp się urodził, stoi po dziś dzień. Właściciel kazał go odfotografować i fotografią tę rozdał robotnikom z następującym dopiskiem: „Przed pięćdziesięciu laty skromne to mieszkanie było miejscem pobytu moich rodziców. Spodziewam się, że żaden z naszych robotników nie przebywał takich walk, jakie do założenia tej fabryki były potrzebne. Przed dwudziestu pięciu laty wątpliwem było jeszcze powodzenie, które z czasem, stopniowo i cudownie nagrodziło wyśiłki, wierność i wytrwałość przeszłości. Oby ten przykład był zachętą dla drugih, znajdujących się w trudnem położe-

niu! Oby on zwiększył szacunek dla takich małych domków i współczucie dla wielkich trosk, które one tak często w sobie mieszczą! Celem pracy winno być dobro ogółu. Gdy działalność błogosławieństwo przynosi, wtedy praca staje się modlitwą. Oby każdy w naszym społeczeństwie, od najwyższego do najniższego, usilnie i poważnie dążył do tego, żeby szczęście życia swojego na tej zbudować podstawie. Jeżeli to się stanie, spełni się najgorętsze moje życzenie."

Na pierwszej londyńskiej wystawie wyroby Kruppa poraz pierwszy zwróciły na siebie powszechną uwagę. Wystawił on blok stalowy posiadający ogromną wagę 45 centnarów; jedna z fabryk żelaza angielskich wystawiła blok jeszcze cięższy. Firma angielska pewną już była zwycięstwa nad obcym współzawodnikiem, gdy wtem z Essen nadszedł jeszcze jeden blok, znacznie cięższy, i pobił stanowczo Anglika na głowę. Reputacja Kruppa została odrazu ustalona.

Najbardziej znanym polem pracy fabryki Kruppa są działa ze stali lanéj, z tyłu nabijane, przy których wyrobie chodzi zarówno o mocny, wytrzymały, czysty kruszec, jak o konstrukcję. Już na pierwszej wystawie londyńskiej zwróciły na siebie działa Kruppa stalowe uwagi rządu francuskiego, który bezzwłocznie zarządził odpowiednie próby i był z nich zupełnie zadowolony. Z razu działa te były niewielkiego kalibru. Od r. 1847 do 1856 trwały dalsze Kruppa usiłowania, którym wielkie trudności techniczne na drodze stawały; zostały one jednak w końcu zwycięsko usunięte, tak, że późniejsze wystawy mógł już Krupp olbrzymiami armatami z lanéj stali obesać.

Fabryka Kruppa posiada dwie strzelnice do prób z działami: pod Dülmen i pod Meppen. Najżywszy interes w świecie wojskowym wzbudziły próby odbywane pod Meppen, które coraz nowe postępy pod względem siły strzału wykazały. Postępy te dowiodły między innymi, że pancerze okrętowe nie są dostateczną ochroną od kul działowych. Była to istna wojna między pancerzem a artylerią: co się pojawił pancerz nowego rodzaju i nowéj grubości, to Krupp wynajdywał nowy pocisk stalowy, którym pancerz przeszywał.

W ostatnich czasach udało się Kruppowi wynaleźć sposób wyjmowania z dział pierścieniowych wewnętrznych luf uszkodzonych i zastąpienia ich nowymi. Odbywa się to w ten sposób, że całe działo rozpala się do czerwoności; poczem w lufę wlewa się kwas węglowy w stanie płynnym, który przechodząc nagle w stan lotny oziębia gwałtownie lufę, która kurczy się, a pierścienie na niej stają się tak luźne, że je zesunąć można.

Zwrócił także na siebie uwagę wynalazek Kruppa otrzymywania, przy pomocy płynnego kwasu węglowego, zwartych odlewów. Postępowanie to polega na tém, że forma zaraz po wypełnieniu zamyka się szczelnie, a następnie wprowadza się w nią, ponad płynny metal, z rezerwoaru z płynnym kwasem węglowym, gaz z wysokim ciśnieniem. Ciśnienie trwa dopóty, dopóki w odlewie jakakolwiek pusta przestrzeń pozostaje.

Dbą też Krupp o swoich robotników; corocznie wnoszą się nowe kolonie robotnicze, a dziś dokoła Essen znajduje się do 4000 mieszkań rodzinnych, liczących przeszło 16,000 mieszkańców. W osobnych domach dla kawalerów, w których mają całkowite utrzymanie, mieści się około 2000 robotników; jest też 150 mieszkań dla urzędników fabrycznych. Kolonie robotnicze nie mają pretensyi do piękności budowli ale posiadają ulice szerokie, dobrze utrzymane i dobrze oświetlone. Mieszkania składają się z trzech albo czterech przytykających do siebie izb, ale wygodnych i zaopatrzonych w dobre wodociągi. Każdy budynek na parterze posiada ogródek takich rozmiarów, że w nim dzieci bawić się mogą i jarzyn trochę zasadzić można.

Oprócz tego są dwie łaźnie i dwa szpitale, z których jeden przeznaczony jest na wypadek wybuchnięcia choroby zaraźliwej. Zakład posiada jedną szkołę zwyczajną, sześć szkół rzemieślniczych (z tych jedna dla dorosłych) i dwie dla kobiet. Jeden kościół katolicki i jeden protestancki zaspokajają religijne potrzeby robotników. Każdy robotnik musi być członkiem kasy dla chorych i starców; w razie choroby lub wypadku, każdy członek otrzymuje pomoc lekarską bezpłatnie, a w razie śmierci pogrzeb. Zdolni lekarze i chirurdzy, oraz jeden okulista pobierają stałą płacę. Rodzaj emerytury pobierają robotnicy, którzy w usługach fabryki stali się niezdol-

nymi do pracy, a chwilową pomoc otrzymuje każdy, który się świadectwem dwóch doktorów wykaże, że pracować nie może. Wdowy pobierają pensye. Krupp wszedł w umowę z rozmaitemi towarzystwami ubezpieczeń na życie, z których robotnicy dowolnie korzystać mogą.

Najważniejszą jednak może z fundacyj Kruppa jest zakład spożywczy; jest to wielki budynek, z którym w związku pozostaje 27 sklepów po rozmaitych punktach kolonii. Do tego zakładu należy dom zajezdny, ośm piwiarni, fabryka wody sodowej, młyn parowy, piekarnia, bydłobójnia i rozmaite sklepy z towarami kolonialnymi, łokciowemi, ze sprzętami, obuwiem, mięsem.

Teatru stałego w Essen niema, tylko w dwóch porządnym i przyzwoitych piwiarniach koczujący aktorzy dają od czasu do czasu przedstawienia. Na tych atoli przedstawieniach bardzo niewielu bywa robotników, i dlatego to Krupp teatru nie postawił. To małe zamięłowanie w widowiskach teatralnych tém się tłumaczy: fabryka Kruppa świętuje tylko w niedziele; robotników nocnych jest tu stosunkowo niewielu, pilnują oni tylko pieców, maszyn i t. p., które ciąglego palenia w nich i ciągłej wymagają baczności; robotnicy przy ogniu pracują dzień i 12 godzin, wszyscy inni 13, z pauzą półtoragodzinną—lubo więc praca zostawia nieco czasu na rozrywkę, to jednak nie pozwala na nią znużenie w powszedni dzień, z wyjątkiem niedzieli. Ale gdy nadejdzie niedziela, robotnik zapala fajkę i idzie z rodziną w pole, jeżeli pogoda sprzyja, a wieczór cały spędza z kolegami w piwiarni. Essencki robotnik nie jest dziki; nie podnieca on, napodobieństwo angielskiego robotnika z prowincyi, namiętności swoich walką kogutów lub psów; nie zdaje się też czuć tego „wewnętrznego głodu”, który angielskiego robotnika zniewala do czytania dziennika niedzielnego i do szukania rozrywki w teatrze ludowym; lecz zato bezrobocie jest mu rzeczą nieznaną, co najlepszy stanowi dowód, że z losu swego jest zadowolonym.

I to w instytucyi ożywionej takim duchem humanitarnym, dzieją się bezprawia o jakich wspomnieliśmy na początku artykułu. Trudno uwierzyć aby oba tak krańcowe kierunki mogły się z sobą godzić a jednak godzą się—pod młotem pruskiego wandalizmu.

T. W.

DZIECKO KUPIONE.

POWIEŚĆ

PRZEZ AUTORKE „LORDA ERLISTOUN”

przekład z angielskiego J. S.

(Dalszy ciąg.)

— Dumną jestem z ciebie, mój synu—rzekła ze wzruszeniem—przeniosłeś obowiązek nad przyjemność, tak jak powinien być uczynić.

— Muszę wyrobić sobie stanowisko w świecie i stworzyć dobre imię, ja który żadnego nie dostałem—dodał z goryczą—będę się utrzymywał z korepetycji i nie wezmę grosza od ojca. Nella nie będzie potrzebowała być nauczycielką.

— Zkądże ci Nella na myśl przyszła?—ze zdziwieniem zapytała pani Trevena.

Przez te lat kilka dzieci rzadko widywały się z sobą; Nella była bardzo nieśmiała względem Artura, który obchodził się z nią jak z dzieckiem i w ogóle nie zwracał na nią uwagi.

— Doktor Franklin powiedział, że ojciec powinien więcej pomagać Nelli niż mnie, bo ona mu jest bliższą.

— Ty zato jesteś moim synem!—z namiętną czułością zawołała Zuzanna, ale nie sprzeciwiała się chłopcu.

W Tawton Abbas zastali już liczne grono gości: jedni zabawiali się w ogrodzie, inni w salonie słuchali muzyki. Lady Damerel ze zdziwieniem zauważyła, że pani Trevena i jej syn skwapliwie zbliżyli się do fortepianu, żeby jednę nutki nie stracić.

— Czy pani jesteś muzykalną? — zapytała profesorowej.
— Nie, ale mój syn gra i śpiewa.

Pan Hardy rzekł do niej kilka słów półgłosem, zapewne o artystycznych skłonnościach chłopca, gdyż lady Damerel włożyła swoje *pince-nez* i z uwagą przyglądała się Arturowi. Zuzanna zauważyła nawet, że jej twarz przybrała na chwilę bolesny wyraz i przypisywała to przykremu uczuciu, jakiego doświadczać musiała bezdzietna kobieta na widok pięknego jej syna.

— Może pan Trevena zechce nam akompaniować do śpiewu — rzekła uprzejmie lady Damerel — zwykły nasz akompaniator nie przyszedł jeszcze. Oto jest *trio*, które miało być śpiewaniem, ale panna Fox wymawia się z powodu chrypki.

— Zastąp ją pani — prosił ktoś z gości — śpiewasz tak pięknie.

— Śpiewałam niegdyś — odrzekła niedbale i, zwracając się do Artura, zażądała, żeby co zagrał.

Niezbym chętnie usłuchał jej wezwania, ale zaledwie dotknął się pysznego instrumentu, zapal artysty wziął górę nad młodzieńczą nieśmiałością.

Lady Damerel pochwaliła jego grę i z kolei położyła przed nim partycję jednej ze sławniejszych oper, otwartą na owym *trio*; był to nader efektowny, lecz najeżony trudnościami kawałek. Artur wykonał przegrywkę, tenor zaczął recitativo, bas mu odpowiedział i w końcu lady Damerel przyłączyła się do nich. Znać było, że niegdyś musiała mieć bardzo piękny głos, a i teraz jeszcze mogła sprawić przyjemność swoim śpiewem. Był to sopran nader wysoki, giętki i świetny, w doskonałej szkole wyrobiony, jeden z tych głosów, co nie przemawiają do serca ale wzbudzają podziw swoją siłą i mistrzowskim pokonywaniem trudności.

Kiedy skończyła, zewsząd posypały się oklaski i pochwały.

— W moim wieku głos traci już dźwięk i siłę — rzekła, dziękując ukłonem — zresztą przy moich zajęciach i obowiązkach nie mam już teraz czasu pracować nad śpiewem, jestem zwyczajną tylko amatorką.

— Ależ pani mogłabyś być artystką, śpiewasz cudownie, nawet w Ameryce nie słyszałem nic podobnego.

Doktor Franklin stał od kwadransa we drzwiach balkonu i, zachwycony głosem lady Damerel, zbliżył się do niej, nie czekając żeby go przedstawiono. Kiedy pan Trevena wymienił jego nazwisko, lady Damerel drgnęła i zwróciła się ku niemu.

— Pierwszy raz pewno widzisz pani przed sobą amerykańczyka — mówił doktor, nie spuszczać z niej oczu — my w ogóle odznaczamy się szczerością i kiedy nam się coś podoba, otwarcie to objawiamy.

Lady Damerel skłoniła się w milczeniu; była bardzo bladą.

— W Ameryce mamy bardzo dobre śpiewaczki, a i pięknych kobiet nie brak, zwłaszcza na południu; przypominasz mi pani bardzo moje rodaczki.

Lady Damerel znów się ukłoniła i usiadła, zasłaniając twarz wachlarzem. Była wciąż bardzo blada, pomimo różu, który tworzył teraz dwie czerwone plamy na jej policzkach. Pani Trevena zdumiona niewłaściwym zachowaniem się przyjaciela, zbliżyła się ku niemu i pod pierwszym lepszym pozorem zabrała go z sobą do drugiego pokoju.

— Chciałem porozmawiać z lady Damerel — rzekł z uśmiechem, odgadując jej zamiar — bardzo ładna kobieta, przypomina mi amerykańkę. Musiałem ją już widzieć, albo kogoś bardzo do niej podobnego. Gdzież jest jej mąż?

Sir Karol siedział cicho w swoim fotelu na kółkach, starając się być jak najdalej od swojej żony, której widocznie się obawiał. Twarz jego wyniszczona chorobą, miłą była jednak i arystokratyczną nosiła cechę, oczy smutne teraz i zagasłe, niegdyś musiały być bardzo piękne.

— Bardzo rad jestem, że pana poznaję — rzekł uprzejmie, wyciągając do cudzoziemca chudą, przezroczystą rękę — moja żona jest także amerykańką.

— Czemuż mi tego nie powiedziała? — mruknął doktor do siebie i, zamieniwszy kilka słów z gospodarzem, wrócił do salonu, gdzie była lady Damerel. Z widocznym roztargnieniem słuchała tego co do niej mówiono i choć uśmiechała się do swoich gości, znać było przymus i znużenie w jej obejściu.

— Nie wygląda ani na dobrą, ani na szczęśliwą kobietę — rzekł doktor do pani Trevena.

— Byłaby może dobrą, gdyby była szczęśliwą.

— Nie wierzę temu, ludzie są zwykle twórcami własnego szczęścia. Biedny sir Karol, miłe musiał mieć z nią życie... Czy to druga jego żona?

— Nie. Sir Karol opowiadał memu mężowi, że od trzydziestu lat są już żonaci, i mieli czworo dzieci, które w dzieciństwie pomarły. Ona podobno o nie nie dbała, ale on bardzo je kochał. Biedny starzec schodzi do grobu bezdzietny.

— Gdzie ja mogłem ją widzieć? — mówił do siebie doktor Franklin, nie spuszczać oczu z twarzy lady Damerel — zdaje mi się właśnie rękawiczki... Nigdy nie zapominam ręki, którą raz widziałem... Jaki piękny pierścion brylantowy!... Ach!

Nikt na szczęście nie słyszał okrzyku, który mimowolnie wydarł się z ust amerykańczyka, nikt nie widział zdumienia odmalowanego na jego twarzy.

— Wielki Boże! Byłem pewny, że ją wprzód widziałem. A więc to ona!...

— Kto taki? — z roztargnieniem zapytała Zuzanna, która z lubością przyglądała się swemu chłopcu, rozmawiającemu z jakąś młodą panienką, i zapatrzone na niego, zapomniawszy zupełnie o lady Damerel.

— Nie wiesz pani, kto to jest? — szepnął doktor do pani Trevena, żywo ujmując jej ramię — a więc ja ci powiem: to ta sama kobieta, która razem z nami była w Andermat, to matka twojego syna!

VII.

Jest to jedno z najmylniejszych przekonań, że kobiety nie umieją utrzymać tajemnicy; przeciwnie, nikt w tak wysokim stopniu nie posiada tej sztuki. Ileż siły ducha, ile panowania nad sobą potrzeba im nieraz, żeby pod swobodnym uśmiechem ukryć krwawiącą się ranę, nie zdradzić tego co serce rozdziera! Mężczyzna najczęściej milczy przez honor, interes lub wyrachowanie, kobieta przez miłość, obowiązek lub litość; zdolną jest milczeć lata całe i wnieść z sobą do grobu tajemnicę, której nawet okrutna ciekawość świata wysledzić nie zdołała.

Kiedy doktor Franklin podzielił się z panią Trevena swoim zadziwiającym odkryciem, ona tyle jeszcze miała przytomności, że skinieniem ręki nakazała mu milczenie. Mąż jej stał opodal, Artur o kilka kroków od niego, lady Damerel rozmawiała w pobliżu, a żadne z nich nie powinno wiedzieć o niczym. Poczciwy doktor zrozumiał ten ruch i o tyle okazał się domyslnym, że objawił zaraz chęć odprowadzenia do domu pani Trevena.

— Pańska żona czuje się bardzo zmęczoną, a i ja wolę już wrócić — rzekł do profesora — przepraszam lady Damerel w naszym imieniu, wysuniemy się bez pożegnania.

Zuzanna szła chwiejnym i niepewnym krokiem, nie nie widząc przed sobą, nie słysząc nawet tego, co do niej mówił doktor Franklin. Dobrze zrobił, że natychmiast po owym strasznym odkryciu wyprowadził ją z pałacu, bo zaledwie wróciła do domu, padła zemdlna na ziemię. Poczciwy doktor z obawy rozgłosu nie wołał nikogo i sam wziął się do trzeźwienia ogłuszonej niespodziewanym ciosem kobiety. Przyszła wkrótce do siebie i zanim jeszcze pan Trevena z Arturem wrócili do domu, porozumiała się z doktorem co im czynić należy; oboje zgodzili się na to, żeby tymczasem utrzymać jeszcze tajemnicę.

Teraz już było rzeczą niewątpliwą, że Artur był synem sir Karola i lady Damerel, ale jak tego dowieść? Wyrodna matka, która tak długo umiała ukryć przed mężem istnienie dziecka, nie ośmieli się teraz wyjawiać prawdy. Któżby kobieta chciała zresztą rzucić swoje imię na łup okrutnych posądzeń i surowego wyroku świata? Nie lady Damerel, to pewna.

— Porzucić dom i dzieci, uciec od męża, zataić urodzenie dziecka i sprzedać je za dwadzieścia funtów. Nie, bądź pani spokojna, ona nigdy się nie ośmieli przyznać Artura za syna — mówił doktor.

Zuzannę zrazu zupełnie zmartwiały i ogłuszone, ogarnęła teraz rozpacz podobna do szału, rozpacz lwicy broniącej swoich małych.